Lwów, Niedziela dnia 4. Maja 1879 r.

# TYDZIEŃ POLSKI.

Nr. 14.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

## POZORY.

POWIEŚĆ

przez

WŁADYSŁAWA SABOWSKIEGO.

TOM PIERWSZY.

I.

W pokoiku niewielkim umeblowanym nadzwyczaj skromnie, którego jedyną ozdobę ład, schludność i kwiaty stanowiły, znajdowała się sama, młoda, bardzo ładna dziewczyna.

Zmartwienie jakieś musiało jej dokuczać, bo w chwili kiedy nieznającem zapor spojrzeniem powieściopisarza zaglądamy do jej izdebki, zasiadła właśnie na kanapce, główkę oparła na ręku, spuściła oczy i zadumała się na dobre.

Nie wesołe były jej myśli, można to było łatwo na jej świeżej twarzy wyczytać; ktoby zaś z twarzy odgadnąć treści dumki nie umiał, temu by ją wytłumaczyła wkrótce jedna i druga łza, wydobywająca się z pod rzęs długich i jaśniejąca coraz żywszym blaskiem.

W łzach tych zdawał się krysztalić czterowiersz Kornela, z podsłuchanej *Spowiedzi serca:*

Swiat mnie otacza samołubnym krzykiem,
Stoję jak palma uwiędła na puszczy,
Bez kropli rosy — bo nikt z całej tłuszczy
Nie mówi moim językiem.

Głuche, smutne westchnienia od czasu do czasu komentowały tę rozłzawioną skargę zbolałej duszy.

Blondynka cierpiała nie dla wszystkich zrozumiałem cierpieniem. Skargi swoje wyrażała westchnieniami i łzami, bo nie było nikogo coby tych skarg wysłuchał gdyby się w słowa przyoblekły; a kto wie, gdyby był słuchacz, czy zamiast współczucia, nie przyjąłby uśmiechem jej boleści.

Jeżeli czytelnicy nam przyrzekną, że będą od tego domniemanego słuchacza grzeczniejsi, jeżeli z góry się wyprzysięgną lekceważenia wielkiej troski, jaka w tej chwili zachmurzyła czoło dziewicze, jeśli się wreszcie zobowiążą trochę popłakać nad tym krwawym ciosem, jaki przed chwilą młode serce bohaterki naszej poniosło, to im opowiemy tę boleść.

Radzibyśmy do tego użyć świątecznej szaty słowa, poskładać zdania w dźwięczne zwrotki i harmonijnemi posplatać je z sobą rymami, lecz nie ufamy swoim siłom, a w żadnym z poetów, jakich czytaliśmy, nie znajdujemy ustępu, którymbyśmy w tym razie wyręczyć się mogli. Pozostaje nam tedy jako ostatnia ucieczka powszednia proza, do której niech łaskawy czytelnik rymów w swem gorącem sercu doszuka.

Blondynka zaczynała rok ośmnasty i była bardzo bogatą... lecz tylko we wdzięki. Pod tym względem los jakby jej chciał wynagrodzić to czego odmówił majątkowo. Była tak piękną, że matka nietylko jej widokiem nacieszyć się nie mogła, bo to wszystkie matki jedynaczek potrafią, ale nawet, pomimo zawodów jakich sama doznała w życiu, pomimo nabytego doświadczeniem przekonania, że na giełdzie małżeńskiej papiery piękności bardzo nisko stoją i coraz bardziej spadają, pomimo jawnie wyznawanej niewiary w możność wielkiej wygranej na loterji hymenu, jednem słowem, pomimo praktycznego i rozsądnego na swiat i ludzi poglądu — często opędzić się nie mogła natrętnej myśli, która jej szeptała:

— Twoja Nacia zrobi karjerę,...

Jedynaczce było na imię Natalja.

Napróżno matka tłumaczyła sobie, że czasy królewiczów szukających żon w biednych chatkach, ba! nawet czasy książąt, hrabiów i baronów ozdabiających mitrą lub wieloperłową koroną ubogie dziewczęta, mające tylko wdzięk i cnotę w posagu, już bezpowrotnie minęły; napróżno filozofowała, że za wielkim panem jej córka niekoniecznie szczęście znaleźć by mogła, tak jak za poczciwym człowiekiem, który pracą głowy i ręki na chleb powszedni zarabia, niekoniecznie nieszczęście ją czekało. Argumenta te nie pomagały, a nie pomagały może dla tego, że spostrzeżenia macierzyńskiego oka co do piękności i powabów Naci, wciąż znajdowały potwierdzenie nietylko w głosie ogólnym sąsiadek i znajomych, lecz w sądzie najkompetentniejszym, bo w zdaniu mężczyzn, których już kilku rozmaitego rodzaju zabiegami, usłużnością, a nawet wyraźną konkurencją o rękę jedynaczki, przyczyniło się do rozpraszania wszystkich rozumowań, jakiemi matka naszej bohaterki z własnemi marzeniami walczyła. Wszystkiego tego nie było jeszcze dosyć, żeby uwierzyła w świetną przyszłość swej córki, w którą wiele matek wierzy tak silnie, a nawet silniej jeszcze, jak w przyjście wtorku na trzeci dzień po sobocie, ale już przypuściła możebność i w obec konkurenckich zabiegów młodych ludzi, których jedynem bogactwem była nadzieja przyszłości, mówiła sobie:

— Nie mam się z czem spieszyć... poczekajmy... jest czas... a nuż przypadek z tego czasu skorzysta i Nacia zrobi karjerę?...

Nacia także marzyła o karjerze, ale nie o takiej jak matka.

Matce karjera przedstawiała się w postaci pałacu, kamienicy, kamieniczki, bodaj dworku pod okopami z kilku morgami ogrodu, w postaci woźnicy, lokaja, panny służącej lub bodaj tylko dwóch dziewcząt, jednej do wszystkiego, a drugiej młodszej; córka marzyła o człowieku, któryby ją zrozumiał i sam był zrozumiany od świata, ktorego imię otoczonem byłoby aureolą sławy, bodaj w kółku nie licznych czytelników jakiego małego tygodnika, o człowieku, którego dusza wydawałaby dźwięki natchnione w słowach na wyszukane zakończonych końcówki, końcówki harmonijne odpowiadające sobie, jak dwa bratnie duchy dwóch pojmujących się istot.

Jednem słowem: matka pragnęła pana

lub przynajmniej zamożnego człowieka, córka poety, a przynajmniej powszedniego wierszopisarza.

Matka była tyle rozsądną, że córce nigdy nie mówiła o panu, żeby jej nie przewrócić w głowie, córka matce mówiła o poecie czasem, a matka wzruszała ramionami, co według dykcjonarza mowy mimicznej nie oznacza bynajmniej aprobacji i odpowiadała lakonicznie:

— Otóż co ci przyszło do głowy!...

Blondynka była przekonaną, że nic nie ma trudniejszego do zrozumienia jak jej dusza i że jedynie duch poety z jej duchem harmonizować może. Prawdę mówiąc w tej duszy tak głębokich i trudnych do pojęcia tajemnic nie było wcale, a że jakiś pociąg mimowolny porywał ją ku ludziom, którzy obliczają zgłoski w tem co wychodzi z pod ich pióra, nie było to bynajmniej dziwnem, albowiem i ona sama miała dosyć upodobania w tej arytmetyce natchnionej.

Nieszczęściem w liczbie ludzi co ją otaczali, w liczbie tych, których spotykała na swojej drodze, nie mogła się doszukać poety. Żaden z nich nie pojmował co to znaczy być kroplą rosy dla palmy uwiędłej na puszczy. Z tego powodu bohaterka nasza obojętnie patrzyła na hołdy, jakie jej piękności składali, zimno przyjmowała ich zabiegi i nie sprzeciwiała się bynajmniej matce, która jej dowodziła: że ma jeszcze czas poczekać.

Raz, a było to na dni kilkanaście zaledwie przejmującą smutkiem chwilą, która naszą powieść zaczyna, zdawało jej się, że napotkała bratniego ducha.

Duchem tym był młody człowiek, którego ujrzała przypadkiem na ulicy w niedzielę, powracając z matką z kościoła. Powierzchowność jego bynajmniej nie sprzeciwiała się przypuszczeniu, że on a nie kto inny będzie mógł zostać tłumaczem jej duchownych tajemnic. Był przystojny, miły, sympatyczny. Włosy miał ciemne, a blondynki rozmarzone czy nie, mają pociąg do ciemnych włosów. W błękitnych jego oczach malowało się coś podobnego do tęsknoty, a poetki wszelkiego stopnia lubią tęsknotę. Twarz była blada, choć nie chorobliwa, a bladość mówiąc stylem senników, znamionuje marzenie. Wąsy niewymuskane z przesadną starannością, ale bujne i obfite, zdawały się symetrycznością naturalną reprezentować dwa bogate rymy. Chód był poważny a wzrost dosyć wysoki, znać że spotkany za poważnemi w życiu ubiegał się celami, a głową chętnie w niebo natchnień się wznosił...

Tak przynajmniej wnioskowała blondynka.

Spojrzenia ich, gdy się z sobą spotkali, uległy jakiejś magnetycznej atrakcyi, a wiadomo że podobna atrakcja spojrzeń trafia się tylko sympatycznym bratnim duchom.

Nie dosyć na tem. Gdy się wyminęli i odległość pomiędzy niemi stała tak znaczną, że to bez zwrócenia uwagi uczynić było można, spotkany nagle zapewne coś sobie przypomniał, bo się zwrócił i iść zaczął śladem blondynki.

Blondynka nie oglądała się za nim, ale o tym nagłym zwrocie wiedziała. Jakim sposobem?... jest to tajemnica, którą my mężczyźni napróżno rozjaśnićbyśmy się starali i jeżeli uposażona wdziękami jedynaczka o tej tajemnicy swojego wzroku myślała, gdy sądziła, że nikt zagadki jej duszy rozwiązać nie potrafi, to miała słuszność najzupełniejszą, tylko że podobną zagadką są wszystkie w ogólności młode i piękne kobiety.

Nazwijmy ten wzrok niewytłumaczony instynktem.

Otóż gdy jej instynkt powiedział: że nieznajomy idzie za nią w przyzwoitej odległości, która żadnemu z przechodniów oprócz niej nie dozwoliła się domyśleć jego manewru, ona powiedziała do siebie:

— Albo przeczucie zawodzi mnie szkaradnie, albo ten młody człowiek jest... poetą. Tak, mylić się nie mogę, on jest poetą.

Domniemywany poeta satelitował jej ciągle, dopoki nie weszła do domu, a gdy weszła, domyśliła się, że musiał znów zawrócić i pójść w inną stronę, bo kiedy po niejakiej chwili, niby z niechcenia, na przelotną chwilę wyjrzała oknem, już go na ulicy nie było.

— Czuję przecież — myślała — że się kiedyś jeszcze w życiu naszem spotkamy.

Było jej tak błogo w duszy, że dnia tego świat zbogaconym został o kilka zwrotek, które nieprędko czytelnika doczekać się miały, ale w których nie było wcale wzmianki o palmie zwiędłej na puszczy.

Nazajutrz, prócz kilku nowych zwrotek, nic osobliwego nie zaszło.

Trzeciego dnia rzuciwszy okiem w okno, bohaterka nasza przypadkiem spostrzegła poetę. Niósł on jakąś paczkę pod pachą, a spojrzenia jego kierowały się ku jej oknu jak igła magnesowa ku północy.

Gdy ją spostrzegł, zamanewrował wzrokiem tak, jakby nigdy w tamtą stronę nie patrzył. Wzrok jej wykonał podobną ewolucją tak doskonale, że się jej samej zdawało, iż wcale nie patrzyła na ulicę.

— Co on niesie? — mówiła do siebie — zapewne książki... tak, pewno książki... poeta bez książek to niby palma bez rosy.

Było to, jak widzimy, poważne o poezji pojęcie. Poeci lekko rzeczy biorący, a znamy takich osobiście — odznaczają się wstrętem do książek.

Strofki przybywały do strofek, a poeta dość często przechodził z książkami pod pachą ulicą, na której bratnia dusza mieszkała.

Trwało tak cały tydzień czy dłużej, aż nareszcie przyszedł dzień smutny.

Blondynka wyszła z matką na miasto i w drodze napotkała znowu domniemanego poetę, ale już bez książek.

Tym razem musiał się spieszyć bardzo, bo nie zawrócił za nią, chociaż że ją widział, najmniejszej ulegać nie mogło wątpliwości.

Tym samym instynktem, który ją wprzód ostrzegał, że młody wieszcz idzie za nią, przeczuła, że teraz wyminąwszy ją zaledwie kilkanaście kroków, wszedł do sklepu.

Wiedziała, że tym sklepem, mógł być tylko handel towarów kolonjalnych, albo księgarnia, bo innych w owem miejscu nie było, i nie miała najmniejszej wątpliwości, że wszedł do księgarni.

— Szedł bez książek, poszedł po książki — mówiła sobie.

Nie przyszło jej nawet na myśl, żeby ją przeczucie omylić mogło i nie doznawała najmniejszej chętki sprawdzenia swego domysłu.

Przypadek chciał jednakże, żeby jej matka zapomniała czegoś i żeby trzeba było powrócić.

Gdy przechodziły kolo księgarni, jedynaczka nie śmiała w nią rzucić okiem. Po co miała patrzeć, kiedy przed oczyma jej duszy stał tam wyraźnie młody nieznajomy, przeglądający dzieła poetów naszych i obcych, lub może... może... przez szybę drzwi wchodowych, rzucający okiem, które przeczuło jej obecność, na chodnik którym przechodziła.

Na handel towarów kolonjalnych spoglądać nie było po co. Instykt mówił wyraźnie, że go tam nie ma. Mimo to blondynka spojrzała.

Spojrzała i jakby od przebiegu iskry elektrycznej, doznała tak silnego błyskawicznego wstrząśnienia, że aż matka zapytała strwożona:

— Oh! co ci Naciu?...

— Nic, mamo — szepnęła jedynaczka, głosem na który ledwie zdobyć się zdołała.

Piękne nic!... Wszystkie złote marzenia o bratniej duszy, rozsypały się w proch odrazu.

Przez otwarte drzwi kolonjalnego sklepu, okropny widok przedstawił się jej oczom.

Domniemany poeta widocznie wszedł nie do księgarni, lecz tam. Zdążył już nawet stanąć na stanowisku, na którem bohaterka nasza najmniej się wieszcza ujrzeć spodziewała i komuś z obecnych w sklepie, na decymalnej wadze ważył głowę cukru!

Głowa meduzy nie takby była przeraziła blondynkę, jak ta fatalna głowa cukru.

— On jest kupczykiem! — jęknęła w duszy — on nosił pieprz, a ja myślałam że poezje!... on chodził z posyłkami, a ja myślałam, że natchnień szuka i napawa się niebiańską słodyczą mowy bogów, śpiewami dusz proroczych, wieszczów i pieśniarzy...

Nie zwierzyła się przed matką z swoich instynktowych domysłów, nie miała przed kim zwierzyć się z gorzkiego zawodu. Wreszcie czyż matka byłaby rozumiała całą tego strasznego rozczarowania okropność?... Matka, kobieta praktyczna, odpowiedziała by jej pewno:

— Można być kupcem i poetą, jedno drugiemu nie przeszkadza.... w sklepie nie zawsze jest zajęcie... sprzeda funt kawy, napisze pół strofki... ktoś przyjdzie po cynamon, da mu cynamonu i dorobi drugą polowę...

Nie?... takiego połączenia poezji z prozą, takiej kombinacji cykorji ze średniówkami, nie rozumiała bohaterka nasza, i wzdrygała się na myśl samą uznania Merkurego za dziesiątą muzę.

Cóż więc dziwnego, iż wróciwszy do domu, skorzystała z tego, że matka poszła zaraz do jednej z sąsiadek i pozostawiona samą z sobą, usiadła na kanapce, główkę sparła na ręku, spuściła oczy, i powtarzała w duchu:

— On jest kupczykiem!...

Cóż dziwnego, że na jej rzęsach zaperliły się łzy, a myśli jej układały się w zwrotki ślicznej poezji Kornela?

Zaprzeczyć jej prawa do tych objawów zwątpienia i boleści, nazwać jej nieszczęście i zawód pozorem nieszczęścia i rozczarowania, wolnoby było chyba temu, kto do wyrazu *handel* rym estetyczny wynajdzie.

---

II.

— A on?...

On w sklepie ważył cukier, ale myślami daleko był od cukru, chociaż przez to nikogo nie skrzywdził na wadze.

Od pierwszego ujrzenia blondynki, myśli jego do niej przylgnęły, a były smutne, chociaż nic wspólnego z poezją rymowaną nie miały, chyba to, że każdy ich perjod, kończyło niby *refrain* posępnej śpiewki te kilka niewesołych wyrazów.

— Jestem biedny!... nie mam nic!...

W wyrażeniu tem streszczało się jego położenie. Nie ma nic, choć miał serce, które mogło kochać, bo takie serce jest własnością nie podlegającą taksie i nie mogące być przedmiotem żadnej przemysłowej albo finansowej operacji. Nie miał nic, chociaż miał głowę zdolną, a w głowie planów i projektów rzeczywiście praktycznych dość dużo—bo głowa tak uprowidowana tylko na postumencie kapitału, może mieć jakieś ekonomiczne znaczenie. Nie miał nic, bo miał tylko zajęcie, w którem jedynie rękami mógł pracować, a ręce rzadko przynoszą więcej jak potrzebuje żołądek.

Brakowało mu kapitału, więc brakowało mu wszystkiego, był biedny, choć czuł, że rozum jaki posiadał, potrzebował tylko punktu oparcia, ażeby na nim przyszłość mógł sobie zbudować.

Oglądał się dokoła za tym punktem oparcia, lecz nigdzie go nie dostrzegał, i przewidywał, że przyszłość nie otworzy mu pewno obszerniejszego pola do działania.

Oddał się handlowi, bo mu się zdawało słusznie, że na tej drodze najprędzej zapewni sobie skromne utrzymanie. Postąpił praktyczniej i rozsądniej niż gdyby dość zupełne ukształcenie, jakie usilną pracą zdołał nabyć, starał się spożytkować w jakimkolwiek innym zawodzie.

Gdy wszedł w ten fach, gdy się w nim rozpatrzył, nabrał przekonania, że gdyby tylko miał o czem zacząć, potrafiłby pójść dalej i zdołałby zapewne zajść aż tam, gdzie szczęśliwi tylko zachodzą, do zapewnienia sobie dobrobytu, przy pomocy którego i on także mógłby pomyśleć o szczęściu rodzinnem i zapewnić swym dzieciom jakie takie mienie, któreby im ułatwiło dalszą drogę w życia wędrówce.

Ale nie było o czem zaczynać i trzeba było piękne projekta i pomysły zamieścić w kategorji niepraktycznych marzeń.

Godził się już ze swoim losem i przystawał na życie aby żyć, widząc że innej drogi nie ma, gdy pierwszy raz ujrzał Natalję.

Od tej chwili położenie jego wydało mu się podwójnie przykrem.

Próżno sobie tłumaczył, próżno się przekonywał, że marzyć o miłości mu nie wolno, że chwilowo doznanemu wrażeniu nie należy pozwalać, ażeby się zmieniło w namiętność, że dalszych spotkań unikać trzeba, że o niej zapomnieć wypada... wrażenie było silniejszem od niego i za każdem nowem jej ujrzeniem, potęgowało się jeszcze bardziej.

Od postanowienia, że jej będzie unikał przeszedł szybko do postanowienia, że nie będzie szukał z nią znajomości, ale i w tem nie wytrwał długo.

Wkrótce dowiedział się jej nazwiska i powziął wiadomość o jej położeniu, co wcale nie było trudnem, ponieważ wiedział gdzie mieszka.

Gdy mu powiedziano, że biedna, on, człowiek praktyczny, z głową pełną projektów spekulacji i merkantylnych pomysłów, on, nad którego nikt bieglej i prędzej nie potrafiłby obrachować w pamięci ile dany kapitał po latach dziesięciu procentu składanego przyniesie, on kandydat na kupca — zatarł ręce z zadowolenia. Widocznie należał jeszcze do owych starej daty ludzi, którzy nie całą swoją istotą należeli do zawodu, któremu się oddawali. Poświęcając handlowi ręce i głowę, nie myślał wcale o tem, że można także hurtem lub detalicznie za gotówkę lub na kredyt sześciomiesięczny, z rabatem lub bez rabatu sprzedawać serce i sumienie.

I jak się tylko przekonał, że jej położenie niczem się od jego położenia nie różniło, chociaż nie powiedział sobie jeszcze wyraźnie, że dąży do zabrania z nią osobistej znajomości, zaczął się jednak rozpytywać pomiędzy swoimi znajomymi, czy kto nie zna jej matki.

Poszukiwania niedługo były bezskutecznemi. W liczbie jego niegdyś kolegów szkolnych, a dzisiaj kolegów zawodu, znajdował się jeden, który na zapytanie o matkę Natalji, odpowiedział natychmiast:

— Ah!... pani Balska... znam... córka prześliczna, a mama bardzo rozsądna i poważna kobieta.

— Bywasz tam?

— Czasami... na godzinkę... to jest co środa i sobota regularnie, bo tylko w te dwa dni czasu troszeczkę mi zbywa... Jak wiesz, żyję systematycznie i dużo czasu mi zabiera moja posadka w kantorze, potem rozmaite stosuneczki, a wreszcie namiętnostka do fortepianu, na którym lubię sobie różne egzercycyjki wygrywać.

Kolega domniemanego poety starał się być człowiekiem wymuskanego języka i obejścia. Sam drobniutki, lubił bardzo wyrażenia zdrobniałe, które miał za elegancję stylu, a wszelką elegancję lubił pasjami. Że był systematycznym, to prawda, bo żył zawsze według swego zegarka, a zegarek jego szedł doskonale. Pracował w kantorze bankierskim i odznaczał się wielką punktualnością, za co, równie jak za „dobre ułożenie" pryncypał lubił go nadzwyczajnie i przepowiadał: że zajdzie daleko.

Bohater nasz nie uważał na opowiadanie o egzercycyjkach i parę razy mu je przerywał, mówiąc:

— Jasiu, wprowadź mnie tam.

Ale systematyczny Jasio nie miał zwyczaju słyszeć przerwy, dopóki perjodu elegancko nie zaokrąglił i od tej reguły odstępował jedynie wtenczas, kiedy przerywającym był bankier-pryncypał, albo jaki zostający z tym bankierem w stosunkach potentat w świecie handlowym. Dopiero więc po trzeciej propozycji, odpowiedział bohaterowi naszemu:

— Uczyniłbym to chętnie, dla ciebie, ale się lękam cokolwiek.

— O co?...

— Panienka bardzo szczęśliwa do chłopaczków... Wszyscy co tam bywają gruchają i wzdychają aż miło... Mogłoby się coś podobnego przytrafić i tobie i miałbyś później żal do mnie, bo mająteczku nie ma.

— Oh! o mnie nie masz się co obawiać.

— To prawda — odrzekł Jaś — zrobiłem swoje... dałem ci przestróżkę maleńką, reszta już do ciebie należy...

Umówili się, że następnej środy Jaś spyta się o pozwolenie przyprowadzenia z sobą kolegi, a w sobotę, po dopełnieniu tej „formalnostki," pójdą obaj do pani Balskiej.

Gdy systematyczny Jasio we środę prosił matki Natalji o pozwolenie wprowadzenia do jej domu jednego ze swoich kolegów, Natalja, która tę prośbę słyszała, nie zwróciła na nią żadnej uwagi. Była jeszcze wówczas najmocniej przekonaną, że jej nieznajomy był poetą i świat handlowy nie interesował ją wcale.

Pozwolenie naturalnie udzielonem zostało, bo racji odmówienia nie było, i w „sobotkę," właśnie w tej samej porze kiedy Natalja srodze zawiedziona siedziała na kanapce samotna, z główką wspartą na ręku i łzami perliła rzęsy, marząc o palmie zwiędłej, otworzyły się drzwi i do pokoju weszli dwaj młodzi ludzie, a Jasio swoim pięknym językiem zaprezentował towarzysza:

— Prawdziwą i niemałą przyjemnostką jest dla mnie przedstawić pani mego dobrego koleżkę i przyjaciela...

Natalja podniosła swoje piękne oczy, z których zaledwie łzy obeschły, poznała nieznajomego natychmiast i z dziwnem wzruszeniem oczekiwała aż systematyczny Jasio nazwisko które miał powiedzieć, wycedzi.

— Mego dobrego koleżkę i przyjaciela Emila Rzewnickiego — kończył wymowny Jasio, a nasz bohater, jak to jest we zwyczaju, przy przedstawieniach, jąknął niezrozumiale jakiś grzeczny frazes.

Dziwne wrażenie zrobiło na Natalji to imię i to nazwisko. Przytłumione westchnienie wyrwało się z jej piersi, westchnienie żalu, że dwa wyrazy, któreby tak przyzwoicie wyglądały na okładce książki smętnemi zapełnionej rymami, kiedyś zapewne figurować będą wypisane na szyldzie korzennego sklepu, może nawet z dodatkiem prozaicznego *et Comp.*

Opanowała przecież wzruszenie jak mogła, przypomniała sobie, że przynajmniej w nieobecności matki cokolwiek więcej gospodynią jak poetką być powinna, postanowiła wymódz na sobie tę ofiarę, co jej mówiąc nawiasem, nie było bardzo trudno, bo dla Emila uczuła nagle coś nakształt litości że go losy skazywały na kupca. — Rozrzewnioną twarz przystroiła poetycznym uśmiechem i odpowiedziała z wdziękiem, że jej bardzo przyjemnie, i znajomość była zrobiona.

Powieściopisarze silą się zwykle na wynajdywanie oryginalnych zaznajomień swoich bohaterów z bohaterkami; w życiu z małemi modyfikacjami odbywa się to tak jak tu opisaliśmy. Natura i konwenanse dla zbliżenia z sobą dwóch dusz sympatycznych, rzadko uznają za stosowne występować z utartych kolei swojego codziennego biegu.

Znali się. W jego sercu wzrastała miłość bez nadziei, a ona sobie powtarzała dość często:

— Ah! czemuż on nie jest poetą!...

I w istocie Rzewnicki poetą nie był, chociaż miał tak smętne nazwisko. Kiedy panna Balska w rozmowie z nim zapomniała się na chwilę i zaczęła się wzbijać na wyżyny górnolotnego stylu, na skrzydłach poetycznych wy-

rażeń, on jej nigdy sprostać nie mógł polotem. Gdy mówiła o powabach naszego grodu, odpowiadał o pięknościach naszego miasta, gdy się unosiła nad urokami powabnej wiosennej przyrody i ożywczym powiewem majowego zefiru, on przez to prozaicznie rozumiał ładną pogodę.

Mimo to zyskał sobie u niej pewną sympatję, może dla tego, że często myślał o przyszłości swego uczucia, a kiedy był pod wpływem takich myśli, był smutnym aż do poetyczności prawie.

Widząc go w takiem usposobieniu, Natalja szeptała sobie:

— Mój Boże! gdyby nie musiał ważyć pieprzu, toby się upoetyzował i on...

Nie możemy zaręczyć, coby się było stało z tą odrobiną sympatji, jaką Rzewnicki potrafił sobie u wybranej pozyskać, gdyby los nastręczył Natalji jakiego rzeczywiście pisującego wiersze, a nawet drukującego swoje utwory poetę. Ale stary psotnik przypadek, tym razem nie chciał widać takiego figla Emilowi wypłatać, sympatja więc pozostała, chociaż w tak ciasnych zamknięta granicach, że Natalja nigdy nie postawiła sobie nawet pytania, czy w jakimkolwiek razie mogłaby zostać panią Emilową Rzewnicką.

On za to stawiał często takie pytanie i zawsze je rozwiązywał jednakowo, mówiąc sobie, że nie miał prawa nawet myśleć o przedstawieniu jej do rozwiązania tej kwestji.

Bywał więc, kochał, to smutniał gdy wspomniał o przyszłości, to promieniał radością gdy mu się uśmiechnąć raczyła, albo drobnej od niego zażądała przysługi, stał się prawdziwym przyjacielem domu, ale nigdy żadne słowo miłości nie wyszło z ust jego

Zdarzało się, często nawet, że w domu pani Balskiej spotykał innych młodych ludzi, którzy może mniej silnie od niego kochali jedynaczkę, ale za to z wyraźniejszemi intencjami występowali jako konkurenci. W ich oczach, rozmowie, obejściu, czytał i odgadywał ich zamiary. Wrzała w nim krew, był zazdrosnym okropnie i cierpiał wszystkie tortury zazdrości. Ale miał tyle siły, że tylko gwałtowniejszem biciem serca i pulsu kończyły się te objawy. Tłumił w sobie doznaną boleść, wzdychał i powtarzał w duchu.

— Jakież mam prawo im przeszkadzać?.. Ona nie dla mnie.

Do tych zwycięztw nad własnem sercem, do panowania nad sobą, kiedy inni zdradzali się w jego oczach z zamiarami pozbawienia go ukochanej, przyczyniała się bardzo obojętność widoczna, z jaką Natalja przyjmowała zabiegi jego rywali i wyraźna niechęć matki do wydania córki za któregokolwiek z ich liczby.

Pociecha to była i pomoc bardzo podrzędnego gatunku. Rzewnicki wiedział, że tak wiecznie być nie może, że pewnego pięknego poranku w szeregu jego współzawodników przypadek, czy przeznaczenie, jak to się komu nazywać podoba, postawi kogoś, na którego i matka i córka inaczej spojrzą; wiedział, że i wtedy jak teraz będzie musiał panować nad sobą i milczeć, — przeczuwał nawet, że ta chwila nie może być daleką... A przecież nie myślał o tem i cieszył się... pozorem szczęścia a raczej jak mu się wydawało, tym oceanem szczęścia, jakim był dla niego jej widok.

Lubował się w *status quo* jak najupartszy konserwatysta... nie ma bo murowańszych konserwatystów jak kochankowie w jego położeniu, pełni rezygnacji, zdecydowani na ofiarę i wiedzący, że tylko tyle czasu przed niemi, ile go jeszcze do chwili spełnienia tej ofiary upłynie.

Tak czas upływał dla jednych wolno, dla drugich szybko, dla Rzewnickiego i Natalji dość jednostajnie. Barometr jej przewidzeń i przeczuć ciągle szedł w górę i zapowiadał chwilę objawienia się poety, a na barometrze jego przewidywań nic nie zapowiadało bliskiej zmiany.

Ubiegło kilka miesięcy. Emilowi zdawało się, że może się wypadki zapomną, iż ich cechą konieczną rozmaitość, a sposobem występowania na scenę życia niespodzianka, — że tak będzie dalej, bez końca... Cieszył się tem co było, wiedział, że mu więcej pragnąć nie było wolno i nie gniewałby się bynajmniej, gdyby nagle zegar czasu zatrzymał się w pochodzie, na długo, na wieki....

Dziwna rzecz!... serce tak spokojne, tak pełne cichych a silnych uczuć, mieściło się w tym samym organizmie, w którym królowała głowa otwarta i pełna pomysłów i projektów, opartych na misternem rusztowaniu cyfr i działań arytmetycznych, pojmująca życie praktycznie, prosto, jasno; zdolna do kierowania się na falach tego życia, sterem rozsądku i wiosłem rozwagi, — niezdolna tylko do jednego, do zapanowania zupełnego nad tem sercem, które dla takiej głowy jest najniebezpieczniejszym sąsiadem.

Rozsądek, zdrowe pojęcie okoliczności i swego położenia, energja Emila, wystarczały tylko na to, że się wyrzekł wszelkiej nadziei i zmusił do milczenia, gdy serce miało chętkę wygadać przed Natalją swoją tajemnicę. Żeby zerwać nici tego stosunku, skoro już raz się przekonał, że z niego nic być nie może, był za słaby, nie miał na to władzy nad sobą.

Anomalji w tem nie było bynajmniej. U najpraktyczniejszych ludzi, jeżeli tylko są ludźmi, a nie chodzącemi cyframi lub maszynami do robienia majątku, praktyczność ma swoje granice. Panna Natalja Balska nie odgadywała bynajmniej, że jej *kupczyk*, chodząca proza, poetyzował się dla niej, przez to właśnie, że milczał wtedy, gdy mu się z ust wydobywały gwałtem gorętsze i nieodpowiednie do potocznej przyjacielskiej gawędki wyrazy. Gdyby była odgadła tę walkę, jaką toczył z samym sobą, byłaby może przyznała, jeśli wiedziała czem jest rzeczywiście poezja, że stan jego duszy w stosunku do niej, odpowiadał wcale dobrze wszystkim poetycznego położenia warunkom. (C. d. n.)

---

# MAGJA I NAUKA.

*(Ciąg dalszy).*

## VI.

*Czyściec św. Patrycego.*

Około r. 450, w małem miasteczku irlandzkiem, zasłynął nauką i cudami pewien pobożny mąż imieniem Patrycy. Był on istotnie dobroczyńcą Irlandji, bo pierwszy wprowadził naukę pisma w dzikie te strony. Jak każdy wyższy umysł w owych czasach, nie mógł zjednać sobie popularności w inny sposób, jak dokonywając dobroczynnego dzieła, któreby oczy wszystkich zwróciło na niego. Za przykładem więc Apollina, który zabił węża niszczyciela, Patrycy niewiadomym sposobem wytępił lub rozpędził wszystkie szkodliwe zwierzęta zamieszkujące lasy jego kraju.

Relikwie po nim pozostałe leczyły wszystkie choroby i wywoływały inne tysiączne cuda. Ale i za życia miał on dziwne rzeczy wyprawiać. Ponieważ jednak niedowiarków nie brakło już i w owych czasach, zdarzało się, że święty musiał ich nieraz przekonywać różnemi sposobami. Otóż pewnego dnia gdy znalazł się w takiem otoczeniu, na jednej z wysp jeziora Derg, poprowadził ich na pewne miejsce, wyciągnął rękę i w jednej chwili otworzyła się przed nimi przepaść. Wezwał tych, którzy chcieli się przekonać o jego mocy, ażeby zeszli na dół; jakoż znaleźli się odważni, którzy zeszli do przepaści, a później wróciwszy z niej szczęśliwie, opowiadali niesłychane rzeczy. Oto jedno z takich opowiadań powtórzone przez Denisa, mnicha Kartuzów:

„Agnejus, który wątpił jeszcze o świętości Patrycego, wstąpił odważnie do jamy i znalazł się w czyścu. Djabli przyjęli go dość niechętnie i cisnęli do ognia, z którego wydobył się dopiero wymówiwszy imię Patrycego. Widział następnie w wielkiej dolinie mężczyzn i kobiety nagich, leżących na brzuchu i ćwiczonych nielitościwie przez szatanów; dalej smoki rozdzierały biednych rybaków a olbrzymie szczury starały się ich pożreć Widział także ludzi przybitych wielkiemi gwoździami i wiszących głową na dół i innych smarzono na patelni lub na kratach przy ogniu, a innych wreszcie zmuszano do wypicia roztopionego *ołowiu*, wykąpawszy ich pierwej w roztopionej *siarce*. Agnejas był okropnie przerażony, ale zdołał się ochronić od męczarni, znakami krzyża św. i powtarzaniem imienia Patrycego.“

Inni potwierdzili te opowieści i nie ulegało już wątpliwości, że święty mówił prawdę. Wkrótce też mnisi wystawili nad przepaścią klasztor i poczęto głosić, że kto tylko 24 godzin przy pomocy modlitw przebędzie w tej jamie, ten tem samem odbędzie czyściec na ziemi i po śmierci będzie już mógł prosto wędrować do nieba. Od tego czasu jama św. Patrycego stała się czemś w rodzaju nowoczesnych miejsc kąpielowych: zjeżdżano tam po zdrowie dla ciała i duszy. Proceder przy dopuszczaniu do czyśca był następujący:

Ponieważ czasy zmieniły się, ludzie stali się nieco twardszych nerwów, zamiast więc owych trzech dni postów w świątyni Trofoniusza, mnisi przeznaczyli dziewięć. Na ten czas zamykano pielgrzyma do celi klasztornej, gdzie mu dawano niewiele co jeść, ale za to kazano pić napoje narkotyczne i wycieńczać się w rozmaity sposób; dziewiątego dnia już nawet wcale jeść nie dawano, natomiast musiał się spowiadać i słuchać rozmaitych nauk; uprzedzano go, że może zobaczyć takie a takie rzeczy i wpuszczano do lochu. Tam zasypiał z wycieńczenia, a we śnie doznawał strasznych widzeń i halucynacji w których oczywiście główną rolę grały żywe obrazy męczarni piekielnych, na kazaniu słyszane, a więc, siarka, ołów, smoła itp. ingredjencje znane piekielnej chemji.

Wyciągano go nareszcie, wycieńczonego

ogłupiałego i bogatego w przerażające wrażenia, o których rozpowiadał po świecie. Nacierpiał się biedak, co prawda, ale przynajmniej miał tę pewność, że jeśli umrze, to już po śmierci drugi raz tych samych męczarni nie dozna.

Kapłani tymczasem przyjmowali ofiary i oczywiście sławili św. Patrycego.

W r. 1491, jak opowiada Debay, pewien niewierny Francuz, zwiedzał ten czyściec, spędził w nim noc całą i wyszeł z niego nic nie zobaczywszy; mówił on, że jestto poprostu grota skalista długa na 60 stóp, szeroka na 30 i której całą osobliwością byli zwiedzający ją pobożni.

Jeszcze jednak w XVII wieku zachowała ona swoją sławę, tylko ponieważ trafiało się, że biedny grzesznik, jak mówili księża, skazywany był na wieczne potępienie, czyli po prostu umarł od nadmiaru narkotyku, a także z powodu iż trafiały się w niej różne wstrętne nadużycia, Henryk VII, kazał ją zamknąć i nie wpuszczać tam nikogo. Nareszcie w wieku XVIII zniszczono ją zupełnie, zasypano i dziś mało już kto pamięta o czyścu św. Patrycego.

---

VII.

*Przepowiednie wyroczni.*

Nie jednego zdziwić może jakim sposobem przy tylu szalbierstwach, przepowiednie kapłanów starożytnych i późniejszych, mogły tak wielki wpływ wywierać na umysły i co więcej sprawdzać się tak często.

Przyczyny tego były następujące: Przedewszystkiem kapłani, byli to ludzie najrozumniejsi swojego czasu i którzy przez samą znajomość stosunków, ogółowi całkiem obcych, mogli nieraz wypowiedzieć wróżbę, która się istotnie sprawdziła. Byli to zręczni psychologowie, którzy słabości ludzkie wyzyskać umieli, a nie bez tego, żeby czasem, należąc do tajemnych towarzystw, nie ułatwiali spełnienia się przepowiedni własnemi lub najętemi rękoma.

Powtóre, byli to ludzie ostrożni i nie wysilali się bynajmniej na bardzo wyraźne przepowiednie. Lud nawet nie wymagał tego. Co mi to za przepowiednia, w której powiedziano, że w tym a w tym roku, tego a tego dnia, tam a tam stanie się to i to!

Taka przypowiednia dobra w astronomji, ale nie w historji.

W historji, mówi się tak:

„Zbliża się wiek, w którym straszne plagi zawisną nad narodami; bezbożni przyjdą do władzy a prawdziwi słudzy boży będą prześladowani; wiele miast legnie w gruzach, nieprawość zasiędzie na szczytach, ale przyjdzie dzień w którym światłość zwycięży, i niebo rozraduje się!"

To się nazywa przepowiednia! Czuć w tem powiew prawdziwie proroczego ducha; gdzie zaś, kiedy i dla kogo spełnią się jego słowa, to już rzecz dobrej woli interesowanych. I zawsze przynajmniej jeden naród, lub jedno stronnictwo, będą mogli, po dokonanej wojnie, uznać na sobie spełnienie proroctwa.

Starożytni mistrze nie cofali się nawet przed bezczelniejszą jeszcze niejasnością.

Kiedy Krezus miał wyruszyć w pole przeciw Cyrusowi, postanowił zasięgnąć rady głośnej już wówczas wyroczni Delfickiej. Wyrocznia odpowiedziała: „Skoro Krezus przejdzie rzekę Halys, zniszczy wielkie państwo." Jakoż zniszczył rzeczywiście, tylko że swoje własne. I gdy później, w kajdany okuty, z goryczą żądał usprawiedliwienia, odpowiedzieli mu kapłani iż nie przypuszczali, ażeby mógł myśleć o Persji nie zaś o Lydji...

Albo np. gdy Medowie chcieli się dowiedzieć o wypadku zaczętej wojny z Babilończykami, wyrocznia Jowisza Amońskiego odpowiedziała im w ten sposób: „Zwycięstwo należyć będzie do tych, którzy lepiej uczczą bogów" — i sprawdziło się, ponieważ Medowie, którzy starali się lepiej uczcić bogów, wygrali walkę — ale to bynajmniej nie przeszkodziło przedtem mniemać Babilończykom, że to oni lepiej bogów uczcili.

Zdarzało się też, że kapłani dla przypodobania się monarsze, który ich hojnie obdarzał, kadzili mu w odpowiedziach, zresztą jak zwykle niestanowczych. Za czasów Filipa Macedońskiego Demostenes mówił o pytji delfickiej, że *filipizuje*.

Aleksander Wielki przybył pewnego razu do świątyni Jowisza żądając wyroczni; ale ponieważ była to pora, w której nie wróżono, kapłani odmówili żądaniu. Wtedy Aleksander chwycił sybillę za ramię i posadziwszy ją przemocą na stołku: mów! — rzekł.

— „Nikt nie może ci się oprzeć, o mój synu!" — odpowiedziała sybilla, wiedząc z kim ma do czynienia. I ten naturalny wykrzyk uznano później za przepowiednię przyszłych zdobyczy Aleksandra.

Ludzie obdarzeni silnym charakterem umieli zresztą pomagać przejawieniu się życzliwości bogów, jeżeli im na tem zabrakło. Tak np. Pauzanjasz naczelny wódz armji greckiej, spostrzegłszy popłoch w wojsku swem przed wydaniem bitwy Persom i wiedząc, że popłoch ten pochodził z niepomyślnych wróżb wyroczni, udał się sam do kapłanów i pod karą śmierci nakazał, ażeby wyszukali przychylne oznaki na niebie. Oznaki znalazły się, a w wojsko wstąpiła taka wiara, że rzuciwszy się na hufce Mardonijusza, rozbiło je do szczętu. To się nazywa umieć przepowiadać!

Mimo tych wszystkich faktów, które dziś nas śmieszą tylko, wyrocznie znajdowały powszechną wiarę. Wierzyli w nie ludzie nawet tacy jak Herodot, Virgiliusz, Tacyt i wielu innych. Ale bo też przepowiedniom istotnie nieraz udało się zręcznie pokryć fakta, do czego oczywiście powszechna słabość ludzka nie mało im pomagała.

Wiadomo, jak trudno jest opowiadając o spełnionej przepowiedni, powstrzymać się od dopełnienia jej w ten sposób, żeby jak najlepiej zgadzała się z faktem, a w czasach kiedy nie było druku, takie przeobrażenia działy się z całą wygodą, tem więcej, że wyrocznie rozgłaszano dopiero po ich spełnieniu, zapominając o niespełnionych. Pominąwszy zresztą takie fakta jak przepowiednia wzięcia Rzymu przez Brennusa, ogłoszona przez jakiegoś augura, albo wypędzenie Arabów z Hiszpanji przepowiedziane przez Averrhoesa itp., które mogły polegać wprost na gruntownej znajomości stosunków i obliczeniu ich rezultatów, nic dziwnego, że znalazła się także pewna liczba takich przepowiedni, które spełniły się wprost przypadkowo. Ileż takich dziwnych trafów dzieje się na świecie, a o takich właśnie ludzie najgłośniej i najwięcej lubią mówić, podczas gdy przepowiednia, która się okazała nietrafną, nie daje wcale materjału do rozmowy.

*Mundus vult decipi, ergo decipiatur.*

(C. d. n.)

---

# AWANTURNICZA WYPRAWA
# DO CHIWY
## BURNABY'EGO
### KAPITANA GWARDJI KRÓLEWSKIEJ

*(Z angielskiego).*

*(Dokończenie).*

Burnaby podziękował Chanowi za udzielenie audjencji, skłonił się po europejsku i opuścił salę. Markotno mu wprawdzie trochę było, że Chan tak ozięble z nim się pożegnał, ale — pomyślał sobie — to trudno, kłamać mu przecież nie mogłem. Jeżeli dziki azjata nie chce temu wierzyć, że w Europie istnieje stan kawalerski, że żony się nie kupują i że mężczyźni mogą obchodzić się bez żon, to nie idzie jeszcze za tem, abym dla przypodobania się mu utrzymywał, iż mam tak jak on tyle żon, ile mahometańskich tygodni w roku. Dałyby mi za to piękne córy Albionu, gdybym ośmielił się je spotwarzyć w ten sposób, bodaj nawet przed Chanem Chiwańskim.

Na zwiedzenie „osobliwości" Chiwy strawił Anglik resztę dnia tego. Właściwie jednak te osobliwości nie były osobliwościami w ścisłem znaczeniu tego słowa. Nie ma bowiem Chiwa jak długa i szeroka nic zgoła takiego, coby zasługiwało na nazwę rzeczy osobliwej. Ani pod względem sztuk, ani pod względem przemysłu, ani wreszcie pod względem obyczajów i ustroju państwowego nie posiada ona nic takiego, coby ją wyróżniało wśród innych narodów ziemi. Zwykły sobie azjatycki chanat i nic więcej. Jeżeli więc jest w niej co osobliwego to właśnie ona sama. Dotąd mniemano, że Chiwa to step nieurodzajny, mało zaludniony, podlegający władzy despotycznego i krwi żądnego monarchy. Podróż Burnabyego obaliła ten przesąd i odsłoniła właściwy stan rzeczy. Pokazała nam ona naród pracowity, trudniący się *con amore* rolnictwem, który to rolnictwo doprowadził do stanu takiego, na jakiem w Europie zaledwie ogrodnictwo istnieje. Pokazała nam naród bogaty, posiadający pomimo nawet islamizmu niepospolite zasoby cywilizacyjne, które niewątpliwie przyniosłyby nawet obfity plon, gdyby narodowi temu otwarta została droga do Europy, ale nie przez pośrednictwo Moskwy, pod wielu względami stojącej nawet niżej od Chiwy, albo co najwyżej na równi z nią, ale za pośrednictwem jakiego innego mocarstwa, np. Indji angielskich. Pokazała nam wreszcie i to jest najważniejszy może rezultat podróży Burnabyego, że Moskwa, jeżeli jej się natychmiast tamy nie postawi, za lat kilka lub kilkanaście, zdoła owładnąć całą środkową Azją i zniszczy w niej wszystkie cywilizycyjne zasoby, pola zbożem okryte obróci w step, a ludność mieczem i ogniem wytępi, jak tego za przykład służyć może Kirgizja, która przecie — jak świadczą o tem rozmaite zabytki — znajdowała się sto lat temu w stanie kwitnącym, posiadała miasta śliczne i ludność bogatą, a dzisiaj jest nagim i bezludnym stepem.

Z osobliwości Chiwy zaznaczyć tylko możemy szkołę, w której Burnaby zastał kilkuset uczniów i więzienie, w którem zastał tylko dwóch więźniów. Czy znajdzie się w cywilizowanej Europie takie państwo, w którem na kilkuset uczniów, przypada dwóch więźniów? Wątpimy.

Nazajutrz rano, niemal o świcie zbudzono Burnabyego i wprowadzono do jego izby moskiewskiego żandarma, który oświadczył, że przywozi do niego depeszę z fortu. Depesza zredago-

wana była krótko i węzłowato w języku francuskim. Komendant twierdzy moskiewskiej donosił, że telegrafem do Kazali a sztafetą zlamtąd nadesłano od rządu angielskiego rozkaz, aby Burnaby, kapitan gwardji konnej królowej, gdziekolwiek go ta depesza dosięgnie, zawracał natychmiast i bez zwłoki przyjeżdżał do Londynu.

— Pozwolicie mi panowie — rzekł Burnaby do adjutanta Chana, który w imieniu swego władcy złożył mu w godzinę potem wizytę, pozwolicie mi panowie nie słuchać Moskali i udać się przez Bokcharę do Persji?

— Niestety, panie, nie możemy — odrzekł adjutant. — Otrzymaliśmy z fortu wezwanie, aby pana wziąć pod areszt w razie jeżeli dobrowolnie nie zechcesz udać się do fortu. A pan to dobrze rozumie, że sprzeciwiać się woli Moskali nie możemy. Radzę tedy panu szczerze, jedź pan do fortu.

Nie pozostawało więc nic innego jak nawracać i oddać się w ręce Moskali. W forcie przyjęto Burnabyego dość grzecznie, a pod pozorem, że dwóch oficerów z eskortą kozaków wraca do Orenburga i że podróż w ich towarzystwie będzie bezpieczniejszą, oddano Anglika ich pieczy. Od Orenburga zaś aż do granicy pruskiej oswobodzono go wprawdzie od towarzystwa eskorty, ale za to mieli go ciągle na oku urzędnicy tajnej policji.

Po przybyciu do Londynu dowiedział się dopiero, Burnaby ile to zabiegów dyplomatycznych poświęcili Moskale, aby uzyskać od rządu angielskiego odwołanie danego mu do kwietnia urlopu. Mniemali oni, że zdołają mu je doręczyć jeszcze przed tem, nim on do Chiwy dojedzie. I byliby celu dopięli. Na nieszczęście jednak dla nich, zabiegi ich dyplomatyczne rozbiły się o to, że koń zakulał, i że Burnaby wskutek tego pojechał przez Kalenderhanę. Tym sposobem odwołanie to przybyło jak musztarda po obiedzie. A w rezultacie tego zbiegu przeróżnych okoliczności otrzymała Europa pierwszą wiarogodną wiadomość o Chiwie.

---

# UKRYTE SKARBY

POWIEŚĆ

SALWATORA FARINA

przekład

A. CALLIER.

*(Ciąg dalszy.)*

## ROZDZIAŁ V.

*W którym Enea dokonywa bohaterskiego czynu a Federico prawi głupstwa.*

— No i cóż? — spytał Gioachino z dołu, a Romolo toż samo z góry powtórzył — no i cóż?

Szczęśliwy Enea odpowiedział niedbale:

— Dziewczyna podoba mi się; doktor Rocco zdaje mi się łagodnym, dobrodusznym człowiekiem...

— Daj doktorowi pokój, a żeń się z dziewczyną.

— Tegoż chcę właśnie; ale powiedzcie mi, wy ją musicie znać przecie, jakiego to rodzaju kobieta ta pani Tranquillina?

— Ale, pewnie się mylisz — odparł Gioachino z filuterną powagą; pewnieś chciał pytać o babkę Gabrielli?

— Nie, teraz chodzi mi o jej matkę — wymówił Enea z całą powagą — jej babkę ze strony ojca znam już dostatecznie, o niej mówi mi charakter dziewczyny, a zdaje mi się, że z tego co mówiła, poznałem już dobrze usposobienie Gabrielli; myślę teraz o moim pierwszym męzkim potomku, który musi koniecznie odziedziczać usposobienie babki ze strony macierzystej.

— A jeśli w miejsce syna urodzi ci się córka? — spytał Romolo.

— Intelektualna strona dziewczyny, to już jego tylko kłopot — odrzucił Gioachino wielce poważnie—jakież imię dasz twej córeczce?

Enea Ferri zaśmiał się radośnie i odparł — Czystość (*candore*) jest najpierwszą cnotą kobiety, czułość najwyższym urokiem, dam jej więc imię Candida. Mężczyzna natomiast musi być silnym, wspaniałomyślnym i dumnym, pierwszy syn mój więc będzie nosił imię Leona (lew). Piękne imię zdobi mężczyznę.

— Mówisz tak rozumnie — zawołał Gioachino—że zasługujesz na to, by z tobą serjo pomówić. O ile wiem — spojrzał na Romola znacząco — pani Tranquillina, matka Gabrielli, jest zdrową, silną...

— I posiada — ciągnął dalej Romolo — usposobienie łagodne, zdrowy rozum, sąd światły i serce przystępne wszelkim...

Ale Enea nie chciał już wiedzieć czemu przystępnem było serce pani Tranquilliny i zawołał:

— Wybornie! a że, jak się zdaje, dokładnie jesteś w tej mierze powiadomiony, może mógłbyś mi powiedzieć, jakim był ojciec pani Tranquilliny.

— Tyś doprawdy nienasycony — zawołał Gioachino.

Ale Romolo odpowiedział cierpliwie.

— Był on przyjacielem ładu, zacnym, prawym człowiekiem; przypominam sobie, że nie był nieprzystępnym poezji aczkolwiek przenosił prozę...

Tu westchnął skrycie po swojemu, przez nos.

— Czy dawno już jak umarł?

— Już dawno.

— Na jaką umarł chorobę?

— Zdaje mi się, że złamał nogę idąc po schodach a potem wdała się gangrena.

— Pilnuj-że twego syna, żeby zawsze ostrożnie chodził po schodach—zauważył Gioachino— i przestrzeż go, aby w późniejszym wieku zajmował parterowe mieszkanie, a wtedy pewnie dojdzie lat Matuzalema.

— No, jakże więc? — spytał znów Romolo.

— Ha, jeśli mnie zechce, ożenię się.

— Czy mamy cię jej oświadczyć?

Nasz inżynier pomilczał przez chwilę, jakby się lękał niezmiernego brzemienia odpowiedzialności, które zamierzał wziąć na swe barki; — spojrzał ku gwiazdom, co nań mrugały tak filuternie i nagle począł uciekać. Nie uszedł wszakże jeszcze dziesięciu kroków, gdy się obrócił do dwu swych przyjaciół i zawołał głośno:

— Stało się! Niechże już tak będzie!

Nieliczni przechodnie, widząc uciekającego młodzieńca i dwóch staruszków śmiejących się na całe gardło, stawali na ulicy i śmieli się wraz z nimi, choć nie wiedzieli o co tu chodzi.

Przyszedłszy do domu Gioachino i Romolo, zastali siedzącego u kominka kogoś, którego po tak haniebnej porażce byliby raczej spodziewali się w najgłębszem znaleźć ukryciu.

— Jużeście to z powrotem? — rzekł tenże; — nie spodziewałem się was tak prędko.

— Biedny Federico! — mruknął Romolo z udanym żalem.

— Czy o mnie mówisz? Ja mam być biedny? Gruntowniej rzecz zbadaj; dziś na giełdzie wygrałem dużo, jutro naturalnie znów wygram; potem mam jak najpomyślniejsze wieści o moim skarbie, znaleziono już pusty garnek, który, jak mówią, ma być wielce cennym dla geologji, antropologji, paleontologji i Bóg wie jakich tam jeszcze uczonych *logji!* A ty nazywasz mnie biednym, bom przypadkowo nie miał szczęścia podobać się dwudziestoletniej dziewczynie, którą bynajmniej nie uważam za piękną i która na mnie od pierwszej zaraz chwili wielce niesympatyczne zrobiła wrażenie?

Romolo i Gioachino popatrzali na siebie szeroko rozwartemi oczyma, jakby chcieli sobie wzajem powiedzieć: On nie jest przy zdrowych zmysłach widocznie!... Federico przecież, niestropiony bynajmniej — ciągnął dalej:

— Ależ to dziwaczka, zarozumiała, pyszna, ta wasza mała filozofka; zyskałaby niesłychanie, gdyby się mogła pozbyć sztywności ułożenia i gdyby sprostowała nieco swój nos...

— Nos? — zawołali obaj starzy z podziwem.

— Albożeście nie zauważyli dotąd, że ma nos krzywy?

— Krzywy?

— No tak, nagina się on ku prawej stronie. Poradźcie jej, żeby zawsze sypiała na prawym boku a wycierała nos lewą ręką; są to dwa niezawodne środki na to zboczenie natury i polecam je waszej małej protegowanej w dowód mej szczerej dla niej życzliwości.

Obaj starzy już się nie śmieli.

— Gniew przez niego przemawia—wymówił Gioachino półgłosem po krótkiej chwili ogólnego milczenia; a Romolo naprzód energicznem kiwnięciem głowy przywtórzył temu mniemaniu, powtarzając je zaraz potem całkiem głośno:

— Gniew, nic więcej! uraza!

— Dzieci z was — zawołał Federico zadowolniony, to nie gniew, ale po prostu ochota pośmiania się trochę; jestem dziwnie wesoły, nie wiem jaka tego przyczyna, ale dziś byłbym zdolny popełnić najgłupsze jakie szaleństwo. Wasza Gabriela jest piękna, bardzo piękna, boska czegoż chcecie więcej? Wenus z niej, Madonna; to mniejsza, że ma nos trochę krzywy, bo jej z nim niezmiernie do twarzy. To przecież pewna, że ja jej się nie podobałem zupełnie a i to niemniej pewna, że ona także zbytnio mi się nie podoba. Dusze nasze odpychają się wzajem, to wszakże nie czyni w niczem ujmy jej piękności, a mnie nic nie przeszkadza życzyć jej szczęścia co niemiara. Powiedzcie jej to otwarcie, a wreszcie ja i sam jej to powiem. Gdybym dla niej mógł co uczynić, nie zawahałbym się przed żadnem poświęceniem; ożeniłbym się z nią nawet; powiedźcie jej i to również. Ale zapewniam was, że sobie z niej, z siebie, z całego życia absolutnie nic nie robię i że mimo tej, jak wy zwiecie, porażki, jestem w najdoskonalszym humorze.

— Widać to! — rzekł Gioachino.

Romolo zamyślił się i zaledwie znalazł się znów sam z swym starszym przyjacielem — rzekł:

— Kochany Gioachino, mnie ten chłopiec szczerze martwi; jeśli nie napotka wprędce jakiejś rozrywki silniejszej lub jakiegoś głupszego zajęcia dla serca a przynajmniej dla mózgu... to naj-

mniejsza przeciwność, jakiś niepomyślny zwrot losu...

Przy tych słowach dotknął z lekka ręką piersi Gioachina. Gest ten z przerażającą mówił jasnością; Gioachino pojął, że ręka Romola oznaczać miała dłoń losu.

— Nikt nie powie — wymówił pospiesznie — że Federico miał dwóch podeszłych, doświadczonych i rozsądnych przyjaciół, którzy na nic nie umieli mu się przydać. Musimy sobie zadać pracę i wynaleść coś, coby zajęło jego serce.

Romolo z niedowierzaniem wstrząsnął głową.

— Żona i dziecko, zresztą nic na to nie poradzi.

— Żonę mu przecież znajdziemy; toż pięknych dziewcząt nie brak, prawda, że tak pięknych jak Gabriella nie wiele, wyszukamy mu przecież taką, która będzie mieć nos prosty i pozyska jego miłość.

— Tak, ale tymczasem...

— Tymczasem musim się postarać dla niego o jaką rozrywkę...

— O coś, coby jego mózg zdołało zająć.

— Ale co?

— Ale co?...

## ROZDZIAŁ VI.

*W którym Gabriella wypowiada swe poglądy.*

Gdy nazajutrz Gioachino i Romolo o pół godziny wcześniej niż zazwyczaj szli do doktora Trombetty, byli zdecydowani pochwalną mową uczcić inżyniera Ferri i oficjalne w jego imieniu poczynić kroki; kandydatury Federica zrzekli się w zupełności. Doktor Rocco wszakże całkiem inaczej się na ten punkt zapatrywał. Wedle jego mniemania Federico był „niebezpiecznym chłopcem“, brał serca szturmem a miljonek, bo tyle co najmniej musiał mieć w jakiemś lukratywnem przedsiębiorstwie, czynił go w oczach doktora Rocco formalnie niepokonanym.

Tak wielką była niecierpliwość, z jaką oczekiwał poselstwa, że przeciw zwyczajowi od pół godziny już przechadzał się tam i napowrót po jadalnym pokoju. A tak wielkim dobry humor, że kiedy nareszcie poselstwo nadeszło nie myślał się uskarżać na tak długie oczekiwanie. Owszem, powitał obu gości radośnym uśmiechem.

— Jacyście wy zabawni — zawołał wreszcie wśród śmiechu — wyglądacie tak tajemniczo. No, panie Romolo, pokaż no, odwróć-że się łaskawie; możnaby posądzić cię, że po za plecami kryjesz jaką zakochaną parę... toż mógłbyś ich ze trzy przynajmniej ukryć, jesteś na to dość wysoki. Panu natomiast, panie Gioachino, ufam w zupełności, ale nie nadużyj że czasem mego zaufania i nie wprowadź mi w dom karła. Aj, aj! panowie widocznie macie mi coś powiedzieć, wasze świąteczne miny bawią mnie niepomału; no, siadajcież.

Obu starych niesłychanie chwytała za serce ta uprzejmość ich tyrana, żadnego nie gniewały przycinki do ich wzrostu; Romolo chętnie gotów był głową dorość do sufitu, byle tylko małżonka Tranquilliny zawsze w tak dobrym utrzymać humorze; a Gioachino, który bynajmniej nie był karłem, chętnie by nim był został aby widzieć zawsze swobodny uśmiech na twarzy swego inwalidy.

— No, dalejże, ognia! czas jest drogocennym. Jeśli macie mnie o co prosić dalej, mówcie bez ogródek.

— Inżynier Enea Ferri... — począł Romolo.

— Precz z nim! — przerwał doktor tonem, przypominającym nieco zwykły jego humor. — Mów pan naprzód o Federicu.

— Przykro mi — wybąknął Romolo — ale Federico to światowiec; ma on wprawdzie dobre serce.

— Światowcy z dobrem sercem są zazwyczaj najlepszymi mężami — zauważył doktor.

— Być może, ale Federico jest niepoprawnym kawalerem, ani chce o tem słuchać.

— O Gabrielli? — spytał doktor Trombetta.

— O małżeństwie — pochwycił szybko Gioachino — to jest onby może i ożenił się, dla odmiany, ale to nie dla niego, on nie byłby w stanie uszczęśliwić dziewczyny. Enea natomiast jest przedewszystkiem pięknym mężczyzną, piękniejszym, niż Federico.

— To nieprawda.

— Ja też nie utrzymuję przecie, że tak jest rzeczywiście, ale tak mi się zdaje.

— Tak ci się nie zdaje!

— Masz pan rację, tak mi się nie zdaje, że też przed panem nic utaić nie można; mówmy więc szczerze: piękniejszym nie jest od Federica ale zawsze przecież trudno zaprzeczyć, że jest pięknym mężczyzną; ma oko...

— I nie jedno, ma ich dwa — rzekł doktor oschle.

— To się rozumie — ciągnął Romolo, wyręczając przyjaciela, który już nie mógł sobie poradzić; — jest to człowiek rozsądny, pilny i zarabia wiele, a obok tego jest majętnym...

— Nie tak jak Federico.

— Prawda, że nie tak bogatym jak Federico; ale za to jest statecznym, trzeźwym w poglądach i poważnym do...

— Aż do warjactwa — uzupełnił doktor. — Jeden z jego przodków ze strony macierzystej, musiał niezawodnie skończyć w domu obłąkanych i ten to właśnie ze skórą i kośćmi przeszedł w ciało waszego inżyniera.

— Żartujesz pan pewnie — podjął znów Gioachino, — prawda, że przesadza nieco niektóre nowoczesne teorje, które w części mogą opierać się na prawdach, ale żadną miarą jeszcze dowiedzionemi nie zostały.

— Jest to cecha wspólna wszystkim głupcom, że rzecz, która jest sama w sobie najrozsądniejszą, przesadzają tak, iż się staje nonsensem.

— Inżynier Enea przecież jest tego przekonania, że przymioty dzieci przedewszystkiem są dziełem Opatrzności.

— Przypadku, chciałeś powiedzieć.

— I także przypadku — poprawił się Gioachino ulegle; wedle jego mniemania tylko, nie należałoby przypadkowi zostawiać w zupełności natury dzieci, ale odwrotnie twierdzi on, że obowiązkiem rodziców jest wedle sił przygotowywać dobre żywioły a zapobiegać złym, studjować podobieństwa, uchylać dziedziczne błędy, jednem słowem naprzód już dbać o potomność i jej poświęcać te starania, jakie po większej części mniej ważnym nawet poświęcamy rzeczom. Boć w gruncie dzieci to przyszłość ludzkości i dla tego zdaje mi się, że inżynier Enea tak bardzo znów nie błądzi.

— Błazeństwa! — mruknął doktor; — którego pięknego poranku dowiemy się, że inżynier Enea przybrał tytuł „praojca Adama“, a że dziś nie wolno chodzić po świecie w naturalnym stroju, więc ojciec wyborowej przyszłej ludzkości dostanie się do domu warjatów. I ja mam jeszcze się wahać w wyborze między tym inżynierem z przewróconą głową a panem Federico?...

— Ale...

— Nie ma żadnych ale; zażądajcie odemnie ręki Gabrielli dla Federica a ja...

Nagle zamilkł i twarz, ktora nabrała już była ponurego wyrazu rozjaśniła się w jednej chwili; Gabriella weszła.

Słyszała ona słowa ojca i stanęła we drzwiach jak wrosła; zdawało się jakby chciała uciec, ale potem zbliżyła się nagle z dziwną stanowczością w twarzy, uścisnęła w milczeniu rękę obu przyjaciołom i rzekła opierając się o fotel ojca z szczególniejszym naciskiem.

— Cóż?...

— Cóż... no, cóż? — szepnął doktor Rocco łagodnie.

Jakże tego gwałtownego człowieka zmięszało nagle jedno jedyne słówko wyszeptane takim pieszczonym głosikiem! Jak wiecznie gniewny, mrukliwy doktor pod czarem tych dwu czarnych źrenic daremnie silił się odzyskać zwykłą pewność siebie; jak nie kto inny ale ów Rocco Trombetta, bezwładny, poddawał się słabemu dziewczęciu: to dla Gioachina było czemś całkiem nowem, niemal niepojętem, czemś zdumiewającem, że trudno mu było pójść za popędem serca i radośnie klasnąć w dłonie, zatarł je przynajmniej z wewnętrznem zadowoleniem.

— Pan Gioachino i pan Romolo — ciągnęło dziewczę dalej — proszą o rękę twej córki dla pana Federico, a ty, ojcze...

— Ależ oni nic nie prosili jeszcze...

— Przypuść, ojczulku, że prosiliby... Pan pozwalasz przecie, nieprawdaż?... i pan także?

By nie przerywać uniesionemu dziewczęciu, — Gioachino w milczeniu skinął tylko głową, dając poznać, że nietylko zezwala ale ciekaw jest niezmiernie do czego dojdzie z tą hipotezą.

— W takim razie — rzekł doktor Rocco — odpowiedziałbym tym panom, że nie mam nic przeciw temu jeśli tylko moja córka się zgadza...

— Doprawdy? — zawołała dziewczyna, — a twoja córka, która nie może znieść tego pana Federico, w której oczach on jest nudnym, śmiesznym, niedorzecznym, wstrętnym, powiedziałaby, że o nim słyszeć nawet nie chce.

„Nudny, śmieszny, niedorzeczny, wstrętny!“

Gdyby cztery bomby padły naraz na sofę nie zdołałyby większego wywołać przerażenia. Romolo zdrętwiał, Gioachino już nie zacierał rąk ale osłupiałem, pełnem grozy spojrzeniem patrzał w twarz dziewczęcia.

Nie utrzymywałbym, że obaj przyjaciele pana Melli wielce byli tym sądem zbudowani; lubili oni szczerze Federica i poniekąd mieli prawo uważać to za własną obrazę; z drugiej strony wszakże zaspokajała ich ta myśl, że ten *nieszczęsny*, ten lekkomyślnik pozwolił sobie krytykować nos Gabrielli. Zdrowo mu tak! dobrze! myśleli w duchu, poglądając na spotwarzony nosek, zdrowo mu! Wprawdzie on ani niedorzeczny, ani śmieszny, ani nudny, ale i ona też nie ma krzywego nosa!

— Dość już, dobrze, nie mówmy o tem — rzekł łagodnie doktor Rocco; — nie możesz znieść pana Federico i może masz w tem pewną słuszność... szczerze mówiąc i mnie on się zbytnio nie podoba. Śmieszny doprawdy z tą swoją melancholją! Taki młody a już dosyć ma życia; raczy jeszcze żyć na tym świecie, ale sam nie wie czemu to czyni; potem znów nie wie czy ma

rzucić się w *Naviglio,* czy też ożenić... słowem: masz rację, on jest nieco niedorzeczny. Myślałem tylko, że małżeństwo, albo właściwie, że gdybyś go poznała lepiej... i że zadanie ocalenia życia człowiekowi, zwrócenia go na właściwe tory mogłoby ci się podobać.

— Ja — rzekła dziewczyna stanowczo — chcę męża, któryby mnie kochał i był szczęśliwym świadomością mojej miłości; pragnę być małżonką mego męża a nie ostatniem lekarstwem znudzonego; moje szczęście nie będzie stawką w grze lekkomyślnej, zbyt je cenię. Chcesz mi dać, ojcze mój, męża, dobrze, daj, ale poszukaj go wpośród tych, co kochają i życie i bliźnich; poszukaj mi takiego co byłby w stanie — dodała rumieniąc się ale głosem pewnym — co byłby w stanie szczerze, serdecznie ukochać swą żonę... Zresztą los mój obecny tak mi jest miłym, że nie mam najmniejszej ochoty zamieniać go na niepewne szczęście.

— Enea — szepnął Romolo.

— Inżynier Enea! — powtórzył Gioachino.

— Tak, to bardzo zacny, miły człowiek! — zawołał doktór Rocco w nadziei niewątpliwego skierowania rozmowy na kandydata Nr. 2.

Ale Gabriella była jedną z tych natur, co to niełatwo dają się wytrącić z kolei własnych myśli. Umiała ona milczeć, umiała taić własne poglądy i wrażenie, raz wszakże począwszy mówić, stawała się wielce wymowną, nie z usposobienia ale z przesadnej sumienności; zwykle bowiem tam się poczynają nieporozumienia gdzie milczenie ustaje, a jej, jak wielu innym, zdawało się, że nigdy nie umie zupełnie jasno wypowiedzieć swych zdań i myśli. Nie zwracając więc uwagi na przerwę — mówiła dalej:

— Kiedy ktoś jest bogatym, młodym i zdrowym, zdolnym do czynów poczciwych, szlachetnych, gdy ma dość czasu by zacną jakąś pracę podjąć i przeprowadzić i gdy ten ktoś nudzi się życiem, to już głupiec.

— Prawda, słusznie! — zauważył Gioachino; — za to ten zacny Enea...

— Skoro ktoś jest już bogatym i nie umie nic lepszego uczynić nad szukanie jeszcze jakiegoś zakopanego skarbu, to w moich oczach jest chyba dowodem zarodku obłąkania... No, a czyście panowie nie słyszeli jak się chwalił, że jest kochanym a sam już kochać nie może? Już nie kocha! Cóż to za klęska dla świata! Co za nieszczęście dla ludzkości! Spodziewam się przynajmniej, że nie uszło to jego uwagi, jak to pozowanie na Hamleta wydało mi się śmiesznem!

Zamilkła na chwilę, że jednak ani Romolo ani Gioachino nic nie odpowiedzieli na pośrednio rzucone pytanie — ciągnęła dalej:

— Zresztą, pewna jestem, że i ja mu się nie podobałam. Czyż nie tak?

Gioachino i Romolo milczeli wytrwale.

— Pewna jestem, że jak ja i on z tem się nie tail! Czyż nie polecił tobie, panie Affani, lub tobie, panie Poma, powiedzieć mi żem brzydka i niesympatyczna?

— Co za pytanie! — zawołał z pośpiechem Romolo, a Gioachino powtórzył:

— Co za pytanie!

— Całkiem naturalne, jak sądzę; co do mnie, nie wiem co dałabym za to, żeby który z panów poszedł i powiedział mu w mojem imieniu, że nie jestem nim bynajmniej zachwycona, że nie uważam go za tak pięknego, jakim się sądzi i że przeciwnie wydaje mi się wysoce niedorzecznym, nudnym i nieznośnym. Czy zechcesz to uczynić, panie Romolo?

Ale Romolo nie odpowiadał, nie odwracał on oczu od drzwi otwartych, na których progu stanęła Tranquillina z uśmiechem na ustach.

— Gabriello! — wymowiła łagodnie,—Gabriello!

Dziewczę zarumieniło się i nagle odbiegła jej cała odwaga.

— Ma słuszność — ozwał się doktor Rocco zwracając się przytem do Gioachina, bo Romolo nie uważał już na nic, ale mówił do obu. — Wasz wysoce miły pan Melli nie wiele co wart, prawdziwie; spodziewam się, że tyle okaże towarzyskiego taktu, iż nie zjawi się tu więcej. Mówcie mi lepiej o inżynierze Ferri... to przynajmniej człowiek! Nie mówił żem wam poprzednio: „Inżynier Enea podoba mi się; gdybym to ja miał go zaślubić, nie namyślałbym się ani chwili.“ Wszakże tak mówiłem, nieprawda?

Zdumieni tą bezprzykładną bezczelnością Romolo i Gioachino potwierdzili, że to „prawda“. Gabriella zaś ozwała się raz jeszcze, nie zwracając ani trochę uwagi na apologię inżyniera.

— Może ja i nie mam słuszności, może się mylę, ale to com wypowiedziała jest najgłębszem mojem przeświadczeniem; a teraz aż mi lżej na sercu.

Zaśmiała się, uścisnęła matkę i wybiegła ale w drugim pokoju raz jeszcze powtórzyła głośno, tak, że wszyscy słyszeć mogli.

— Teraz mi lżej na sercu!

---

## ROZDZIAŁ VII.

### *W którym Gabriella zastanawia się nad tem co powiedziała.*

Ale nie było jej tak lekko; zaledwie oddaliła się o tyle, że już jej nikt nie słyszał, przestała śmiać się i przerażona niemal zadała sobie pytanie:

— Com ja mówiła?

Zdawało jej się że w głębi duszy żałuje jakiegoś wypowiedzianego mimowolnie słowa, ale jakie go? nie wiedziała. Więc z kolei poczęła przechodzić w pamięci jedno po drugiem. To nie to, i nie to także... Czekaj! Gdy ojciec spytał, czy... odpowiedziała... a gdy pan Poma zauważył, że... ona mu odrzekła... Tak, ależ w tem wszystkiem nie było nic tak znów złego, wszystko to były rzeczy, które powtórzyłaby bez wahania. A przecież czuła, że lepiej było milczeć.

Ja to jestem jak list, myślała; albo otwarty albo zapieczętowany, jawny do ostatniej litery albo tajemniczy, zamykający w sobie wszystko; skoro jednak raz ukażę ludziom to co w mej głębi, żałuję tego, nie, nie żałuję!

A jednak w głębi czuła jakieś niewytłomaczone niezadowolenie; była to jakaś mięszanina spóźnionej litości i bezpotrzebnego gniewu na siebie i na Federica.

Wreszcie wygodnie wyciągnęła się na sofie i puściła myślom wodze. Po chwili takich rozmyślań rzekła do siebie:

— I on nie może mnie cierpieć, to jasne; i on również, to pewna, powiedział to panu Romolo, lub panu Poma, bo żaden z nich nie śmiał zaprzeczyć. A więc tak dobrze, on mnie nie znosi, a ja jego, on powiada żem brzydka, ja twierdzę o nim toż samo, jesteśmy więc skwitowani.

Teraz dopiero spostrzegła, że mówiła głośno i zamilkła; potem znowu zapadła w zadumę.

— Ha! Dobrze, teraz już wiem. Nie *wszystkom* powiedziała jeszcze, *nie dość* powiedziałam. List zawierał jeszcze długie post-scriptum, i to należało również dać do odczytania.

Zdało się jej teraz, że cała nędza tej duszy obezwładnionej, okaleczałej próżniactwem i dobrobytem domagała się słów stokroć surowszych, że jeszcze nie wymierzyła takich plag, na jakie zasłużył ten niedorzeczny człowiek, któremu się zdaje, że jest ideałem kobiet choć sam już kochać nie może.

Nie może już kochać, głupiec!

I nagle poczuła w sobie nieprzeparte pragnienie tej bezmiernej próżności, temu samolubstwu wymierzyć policzek, rzucić ograniczonemu temu człowiekowi w twarz gorzką prawdą, pokazać mu, że są na świecie ludzie nie czujący najmniejszego poważania dla jego bogactwa ani dla jego znudzenia, ale przeciwnie pogardzający tylko jego bezpożytecznem istnieniem... ludzie, dla których on jest wstrętnym.

W pierwszej chwili wzburzenia chciała do niego napisać i podpisać się całem nazwiskiem:

„Panie, wiedz o tem, że cię znieść nie mogę, że mi jesteś wstrętnym i że twe próżniacze, nieużyteczne życie budzi we mnie politowanie i wzgardę“.

Ale jakiś prąd lepszy podniósł w niej walkę i zwyciężył. Taki list byłby dzieciń每stwem, najniestosowniejszem dla młodej dziewczyny.

Nie, pan Federico za nic w świecie, nie powinien był się dowiedzieć, że list ten od niej wyszedł, trzeba zmienić charakter pisma i pod spodem napisać: „Jedna z kobiet“.

Przeciw temu wszakże protestowała wrodzona jej prawość.

— Fatalne! — zawołała Gabriella—a przecież sądzę, że na kilka słów takich zasłużył; a jeśli rzeczywiście to prawda, że są tak nierozsądne dziewczyny, które się w nim kochają i przysyłają mu wonne bileciki, to pomściłabym się tylko za nasz rodzaj, boć to można wyczytać z jego twarzy, on nami pogardza.

Ah! to nie było tak łatwo wywrzeć gniew słuszny a jednak nie uchybić pozorom!

Powstała, przebiegła pokój i stanęła przed biurkiem; tu leżał papier listowy, koperty, pióra i atrament a obok nich maleńka, skromna książeczka: słownik języka... ha! Co za myśl!

Przerzuciła karty słownika i czytała:

„*Wstrętny*, przym. to, co wzbudza niechęć lub odrazę, używane również w zastosowaniu do osób“.

Znowu poczęła odwracać kartki aż znalazła:

„*Próżny*, przym. pusty; przenośnie używany w zastosowaniu do mężczyzny, równo znaczne i chełpliwy, płochy, pragnący się podobać“.

Potem poszukała znów słowo „bezużyteczny“.

„Bezużyteczny“, przym. przeciwieństwo od użyteczny, nieprzydatny, nie sposobny do niczego“.

Stanowczo, bez wahania pochwyciła małe nożyczki, wycięła te trzy miejsca z słowniczka włożyła je w kopertę i zmienionem pismem napisała na niej adres pana Federica Melli.

Zaledwie z tem się załatwiła, weszła służąca oznajmić, że zupa już na stole; ukryła list, uśmiechnęła się i pomyślała:

— U stołu już ja potrafię się dowiedzieć gdzie on mieszka, jutro niedziela, idąc na mszę rzucę list w najbliższą pocztową skrzynkę.

— A co, czy już minęło? — spytała z uśmiechem Tranquillina.

— Minęło — odpowiedziała Gabriella.

Przy stole Romolo nalewał zupę a wyciągając po przez stół długie swe ramię i stawiając talerz przed Gabriellą, zapytał jej:

— Z czegoż to pani tak się śmiejesz?

— Sama nie wiem — brzmiała odpowiedź, ale w duszy pomyślała sobie:

Żywy duch nie wie, jak się pomszczę; a jeśli tak już chcą koniecznie, zaślubię inżyniera Eneę, jego lub kogobądź innego, koniec końcem wszystko to jedno. (C. d. n.)

## Nie budź Jej!

**(Ilustracja do baśni o zaklętej królewnie).**

Mkną lata... miesiące... godziny i chwile...
Zasnęła głęboko na kwiatów pościeli —
A nad nią się złote kołyszą motyle —
I dźwięczą melodje powietrznej kapeli —
I płonią się róże niezgasłym rumieńcem
Na których perłami wieczysta lśni rosa —
Drzew wieczna zieloność otacza ją wieńcem
I wieczną pogodą jaśnieją niebiosa.

A ona — w młodości i wdzięków rozkwicie —
Wśród blasków i woni w swej trumnie z kryształu
Zaklęta snem wiecznym, spoczywa jak dziecię —
Wpatrzona z uśmiechem w ten świat ideału!
Złociste jej włosy jak fale promienne
W nieładzie rzucone spłynęły dokoła —
Na licach jej barwy nie bledną wiosenne
I wieniec liljowy nie więdnie u czoła.

Czas jest tu bez władzy! jak losów niestałość
Złośliwe te duchy tu ciszy nie zmącą!...
Nie rzucą swych pleśni na szaty jej białość,
Nie dotkną tych kwiatów swą dłonią mrożącą!
O!... stoją z daleka, i kryją się nocą
Potęgi wszechwładne w bezsilnej wściekłości,
Bo słowo zaklęcia potężną swą mocą
Kazało tu wiecznej panować piękności!

I czegoż płaczecie? — stroskane wy karły
Stojące dokoła u trumny królewnej?
Jesteście w obłędzie! — nie płaczcie umarłej,
Bo ona spi tylko, a sen jej tak rzewny
Tak piękny, o ludzie! że dać jej nie zdoła
Piękniejszych chwil tutaj ta ręka zuchwała
Co zbudzi ją z marzeń, do życia powoła,
Ażeby kochała... ażeby cierpiała!

Na świecie tym naszym, gdzie wszystko tak zmienne,
Gdzie wieczór już pamięć poranku zaciera,
Gdzie życie nam niesie zawody codzienne,
Gdzie wszystko przekwita i wszystko umiera!
Powiedzcie! gdzie szczęście co nie jest żałobą?
Gdzie sława co w echu odradza się wiecznem!
Gdzie światło co cienia nie wiedzie za sobą
I prawda niezłomna z swem berłem słonecznem?

O nie budź jej, nie budź! ty piękny młodzianie,
Schylony w zachwycie nad senną jej głową,
Tyś wielki czarodziej! na głos twój — powstanie,
Bo słowem zaklęcia, miłości jest słowo!
Lecz chociaż twe serce tak bije gwałtownie
I szczęścia nadzieja tak słodko cię mami,
O nie budź jej, nie budź! tak śpiącej cudownie!
Bo gdy się obudzi — zaleje się łzami! —

I kwiaty powiędną! i blaski zamierzchną,
I spiewne te chóry umilkną w przestrzeni,
I złote motyle gdzieś w szare mgły pierzchną,
I cały świat cudów — w pustynię się zmieni!
I przyjdzie noc z burzą... i przyjdzie czas z kosą —
Nietrwałych uniesień niweczyć godziny —
I tylko na skrzydłach baśń echa uniosą —
O sennej królewnie, wśród sennej krainy!

1879. *Marja B.*

## TOWARZYSTWO PRZEMYSŁOWE
### WE LWOWIE.

Dnia 30. marca b. r. odbyło się doroczne zgromadzenie członków Towarzystwa przemysłowego we Lwowie.

Jest to instytucja, ze wszech miar zasługująca na życzliwość każdego, komu leży na sercu przyszłość kraju, a w szczególności jego rozwój materjalny. Jeżeli bowiem aż do znudzenia powtarza się u nas ciągle stereotypowa sentencja, iż kraj nasz rolniczy podźwignąć się zdoła z nędzy dotychczasowej tylko przez rozmnożenie przemysłowej produkcji, to właśnie w Towarzystwie przemysłowem zespoleni są w jednolity organizm najzdolniejsi i najświatlejsi przedstawiciele zasady, iż teoretyczne uznawanie użyteczności przemysłu samo przez się na nic się nie zda, lecz że sprawa ta wymaga nadzwyczaj uciążliwych prób i zabiegów, gruntownych wiadomości fachowych, sprężystości, cierpliwości, a wreszcie pieniędzy.

W innych krajach, szczęśliwszych od naszego, są miliardy w przemysłowym obrocie, kapitaliści uważają zakładanie przedsiębiorstw przemysłowych za najkorzystniejszą lokację gotówki. A u nas jedni kapitaliści nie chcą się wdawać w przemysłowe przedsiębiorstwa, gdyż więcej zysku przynosi im lichwa; inni zaś odwracają się od przemysłu, gdyż mniej kłopotliwem i ryzykownem wydaje się im, odcinanie kuponów.

Nasi zaś pionierowie przemysłu, stanowiący Towarzystwo przemysłowe z zaprotokołowaną firmą, to ludzie, którzy rozporządzają znacznym kapitałem wiedzy i doświadczenia w zawodach technicznych, olbrzymim kapitałem przedsiębiorczości i wytrwałości, lecz bez dostatecznych zapasów pieniędzy. Jeżeliby kto pisał kiedy dzieje rozwoju cywilizacyjnego naszego społeczeństwa, to będzie musiał zaznaczyć jako charakterystyczny objaw panujących u nas teraz niezdrowych stosunków społecznych, ów rozbrat kapitału z produktywną pracą, jaki dotychczas w kraju naszym istnieje, *że pieniądze nie wspierają pracy, lecz są z nią ciągle na stopie wojennej...*

Ludzie pieniężni w ogóle nie liczą się do grona członków Towarzystwa przemysłowego. Po największej części składają je osobistości, które z bieżących dochodów swoich zmuszone były zaoszczędzić kwotę potrzebną na wpłatę udziału. Lista członków wykazuje 40 dyplomowanych inżynierów i architektów, 8 profesorów akademji technicznej, uniwersytetu i innych zakładów naukowych, 6 właścicieli dóbr, 3 adwokatów, 7 lekarzy, kupców i urzędników tudzież zaledwie 15 przedsiębiorców i innych osób pracujących w przemysłowych zawodach.

Z wpłaconą kwotą udziałów wynoszącą 20.171 zł. Towarzystwo przemysłowe utrzymywało w r. 1878 fabrykę zapałek, najlepszy we Lwowie zakład litograficzny, objęło cztery przedsiębiorstwa drenowania, trzy przedsiębiorstwa eksploatacji szutrowisk; z kamieniołomów swoich dostarczyło dla miasta Lwowa 10.000 metrów sześć. kamienia na bruki, do budowli i t. d., jedno przedsiębiorstwo budowy drogi murowanej, budowę tam na Dniestrze poniżej Zaleszczyk, a wreszcie mostu kolejowego pod Boryniczami. Wszystkie te przedsiębiorstwa razem wymagały krociowych obrotów, więc z powodu szczupłości własnego kapitału zakładowego musiało Towarzystwo poszukiwać do każdego przedsiębiorstwa wspólników albo też posługiwać się kredytem. Wynikł ztąd taki skutek, że gdy w stosunku do własnego kapitału rachnnek roczny wykazuje właściwie 21% zysku, to po odliczeniu procentów, jakie zapłacić wypadło od kapitałów obcych, zysk ten zredukował się na 6% od wpłaconych udziałów. Tak było w r. 1878, w bieżącym zaś roku zakres interesów Towarzystwa przemysłowego obejmuje trzy razy tak obszerne pole działalności. Z taką potęgą rozszerza ono czynności swoje!

Panowie, u których *alfą* i *omegą* spekulacji finansowej jest zakupienie partji listów zastawnych albo akcyj kolejowych, raczcie zwrócić uwagę na przytoczone tu szczegóły, z których pouczyć się możecie, ile to użytecznego, zrobić można dla kraju małemi stosunkowo środkami łącząc kapitał wiedzy technicznej z kapitałem pieniężnym ku wspólnej pracy produktywnej!

Już teraz konkurencja Towarzystwa przemysłowego jest straszną dla rabulistycznych spekulantów, którzy dawniej dzierżyli monopol wszystkich przedsiębiorstw, rozdawanych przez publiczną licytację. A cóżby to było gdyby Towarzystwo przemysłowe nie 20.000 lecz 200.000 złr. własnemi obracać mogło? Dwa miliony, nawet dwa miliardy nie byłoby za dużo na podobne przedsiębiorstwa, bo czem większe kapitały są w zdrowym, rozumnym obrocie przemysłowym, tem szybciej podnosiłaby się potęga i bogactwo narodu.

Lecz my dziś kończymy nasze uwagi o Towarzystwie przemysłowem skromnem życzeniem, ażebyśmy jaknajprędzej doczekali tych czasów, kiedy bilanse jego roczne będą wykazywały przynajmniej 200.000 złr. wpłaconych udziałów.

Nie można wątpić, iż przy tak rzutnem, sprężystem i przezornem kierownictwie, jakie obecnie posiada Towarzystwo przemysłowe, w dyrekcji złożonej z pp. Józefa Kajetana Janowskiego, Juliusza Rossa i Gwalberta Ziembickiego wiara w świetną przyszłość jego będzie się rozszerzała w coraz szersze koła, i coraz bardziej będzie wzrastał w siłę liczebną zastęp członków jego.

*T. M.*

## WOLNOŚĆ i PAŃSTWO.
### STUDJUM SPOŁECZNE.

*(Ciąg dalszy).*

**Ustęp ten skonfiskowała c. k. Prokuratorja Państwa.**

## KORESPONDENCJE

*Kraków**).

Ktoby porównać chciał prąd życia krakowskiego przed laty dziesięciu i dziś, przyznać musi iż płyniemy po... głębinie. Przyczyniło się głównie do tego to, iż przez lat dziesięć wyrobił się Kraków na stolicę potężnej i wpływowej w kraju partji, stańczyków. Tutaj pod wpływem rzymskiego ducha w specyficznej krakowskiej formie, synowie Lojoli odbudowali sobie pod cieniem Wawelu ciepłe gniazdeczko, tutaj grzmiał kwiatami wymowy ks. Zygmunt, tu świecił cnotą ksiądz biskup Gałecki; tutaj ufundowano przybytek niestrefionej nauki, a katedry Jagiełłowej wszechnicy obsadzono prawowierną drużyną, tu wódz gładkich frazesów hrabia profesor naucza stańczykowskich zasad, tu kwitnie sztuka pod Stasia Koźmiana i Hofmanki berłem, tu składano pierwsze zadatki specyficznej literatury w Tece stańczyków i tu Czas wychodzi, tu nareszcie lud w biały dzień płaci świętopietrze, czci Dra Mikołaja... i popija okocimskie piwo; tu młodzież pisuje petycje do policji o zniesienie tingl tanglów, a bogata arystokracja grywa dla przypodobania się Arcyksiężtwu francuskie komedje z wyborową pronuncjacją.

Dzięki temu wszystkiemu, Kraków urósł nietyle w liczbę domów, które po dawnemu są brudne i niewygodne, nietyle w ulice, które jak przedtem pełne błota i kurzawy, nie w przemysł, którego jak nie było tak nie ma, nie w handel jęczący pod nawałą pejsatych potomków Abrahama, lecz w estymę i powagę, w wielkich ludzi do niewielkich interesów, w potężne sprawy o małych rezultatach... Kraków pozuje na wielkie miasto... ma dwór arcyksiążęcy, śmietankę arystokracji, tłustą burżuazję, motłoch, a nawet modną dziś robotę... socjalistów! Młodzież krakowska o to posądzoną być nie może.. bo zresztą jestto najpraktyczniejsza pod słońcem młodzież! Wcześnie się ona uczy rozumieć, iż ręka rękę myje, że protekcja jest wszystkiem, że czapką, papką i solą ludzie ludzi niewolą, a dobrze tym, co się klamki pańskiej mocno trzymają. Nigdzie lepiej jak w austrjackich szkołach, chociażby na modłę polsko-galicyjską, nie spreparowano tego systematu, który z młodzieńca robi automata, który duszę wysysa z zapału, bronz zmienia na pospolitą glinę, a człowieka przysposabia na biurokratyczną maszynę. Nigdzie od młodzieży taką apatją do wszystkiego, takim chłodem nie wieje bardziej, jak w Galicji a szcze-

---

*) W jednem z pism warszawskich spotkaliśmy korespondencję wybornie malującą stosunki krakowskie, którą tu powtarzamy. (P. R.)

gólniej w Krakowie. Naukę się tu kocha dla stopni, pokorę dla protekcji, dobre sprawowanie dla przyzwoitości. Marzeniem—praktyczna karjera, wiarą—pomoc protektorów, sprytem—przybranie pozy... Nic bardziej charakterystycznego nad owe wystąpienie młodzieży z petycją aby... zniesiono piwno-śpiewające ogródki. Ci szesnastoletni iniacjatorowie moralnego porządku, wstręt budzą. Rozumiemy uczciwą zacną młodzież, która idąc za popędem szlachetnej natury oddaje się niewinnym zacnym rozrywkom i gardzi brudnemi norami, gdzie motłoch uciesznie harce wyprawia; taka młodzież ani myśli o tingl-tanglach i nic o tem wiedzieć nie chce. Aby w niej wywołać protest w przedmiocie nic ją nie obchodzącym, trzeba aż takich jak w Krakowie warunków, trzeba na pół strupieszałego przewodnictwa zgniłego obozu stańczyków.

W Krakowie istnieje seminarjum nauczycieli wiejskich dla Galicji zachodniej. Było ono zawsze solą w oku stańczyków, bo partja ta przekonaną jest, iż elementarz wskazuje drogę do piekła; pragnie zresztą lud utrzymać statu quo w rękach księży, odsunąć go od wszelkiej akcji politycznej, a to tylko przy ciemnocie da się wykonać. Póki jednak na czele zakładu stał Józefczyk, nie śmiano go ruszyć i obchodzono kamień obrazy z daleka. Dziś z powodu drobnych zajść postanowiono się wziąć do jego reformy której cel byłby godny pochwały, przyszłość bowiem społeczna w znacznej części, jeśli nie w całości, od rozumnego wychowania, a wychowanie w bezpośrednim stosunku od żywiołów wychowujących czyli nauczycieli zależy, gdyby podjęto tę reformę w myśli prostej i uczciwej. Każdy choć cokolwiek rozwinięty Polak, aż nadto dobrze rozumie, iż moralne i materjalne nabytki jeśli w ciągu lat ostatnich Polacy zdobyli, są zbyt kosztowne i cenne, aby je można było ryzykować dla jakiegokolwiek bądź niejasnego celu. Przyszłość Polski ściśle jest związaną z jawnemi postępami Europy, z wytrwałością w pracy i konsekwencją względem rozwijających się wypadków. Prócz tego położenie społeczne w Galicji dalekiem jest od tych położeń, które choroby społeczne jak np. w Niemczech wyradzają. Wprawdzie chłop galicyjski jest biedny, podatkami przeciążony, lichwą i wódką żydowską zdenerwowany, ale na to dość jest podniesienia jego poziomu moralnego i umysłowego, a przy dostatecznej przestrzeni i pracy znajdzie się zamożność, bo przeludnienia nie ma. Toż samo powiemy o rzemieślniku, któremu brak tylko nauki fachowej, zdrowo podanego kredytu i wyrobionych dróg handlowych. Sejm lwowski uchwalił już dość dawno prawo nakazujące używania języka krajowego na kolejach żelaznych, przez co tysiące Niemców ustąpiłoby miejsca krajowcom — lecz prawo to dotąd nie sankcjonowane, a zarządy kolejowe zamiast uwalniać cudzoziemców, oszczędności rozpoczynają od masowego dymisjonowania Polaków...

Z powyższych przyczyn razem wziętych wynika, iż wszelkie reformy w seminarjach nauczycielskich, celem ochronienia ich moralnego zdrowia, a zarazem rozszerzenia skali wychowawczej są na dobie. Również jest rzeczą pewną, że czujność społeczeństwa w tym kierunku w dzisiejszych czasach nie jest zbyteczną, a ostrożność na naganę nie zasługuje.

Na to się zgodzi każdy uczciwy człowiek i daleko widzący; lecz krakowskiej partji stańczyków wcale nie chodzi o jakieś cele dodatnie, postanowiła ona z wypadków korzystać i w mętnej wodzie ułowić dla siebie ryby. Nie od dzisiaj już organa tej partji na wszelkie głosy dowodzą, że społeczeństwo i kraj stoi na wulkanie, porządek społeczny jest zagrożony i tylko jezuici ze stańczykami mogą jeszcze wydobyć go z ostatniej toni i uratować interesa moralnego ładu. Ale na początek nie trzeba do Rady państwa wybierać nikogo tylko stańczyków, urzędów nie obsadzać nikim tylko stańczykami, innych pism nie prenumerować tylko stańczykowskie itd. Rozżarcie się *Czasu* było tak wielkie, że ktokolwiek przeciwko temu wystąpił, okrzykiwanym był przez ten zacny organ za zdrajcę, za wroga porządku społecznego itd. Sama ta gwałtowność świadczyła o co chodziło stańczykom. Nie przepomnieli więc o seminarjum. *Czas* poświęcił tej kwestji trzy artykuły, w których lamentując na świat cały, rzuca gromy na oświatę ludową, udaje przestraszonego co do przyszłości ludu, jeśli będą się świecko wychowywać nauczyciele, rzuca klątwy na profesorów seminarjum i konkluduje, iż trzeba zakład otwarty przekształcić w tak zwany internat zamknięty, z poddaniem go rzecz prosta jezuitom, jeśli nie w sutanach to w tużurkach. Naturalnie osiągnięto by tym sposobem dość liczne cele. Najprzód zakład zamknięty, jako kosztowny, może wychowywać tylko ograniczoną ilość nauczycieli, a zatem sprawa oświaty ludowej zostałaby wstrzymaną, bo głównie chroma ona dla niedostatku ludzi wykwalifikowanych do nauczycielskich posad. Powtóre wychowanie tych nauczycieli byłoby w ręku stańczyków, kształconoby świeckich mnichów. Rzecz szczególna, iż w tym względzie przebiegłości stańczyków odpowiada ingnorancja tak zwanych liberałów lwowskich, którzy również oświadczają się za internatami. Ale czyż to raz następuje ślub taki ze szkodą samej rzeczy?

Od spraw seminaryjnych nie odwróciły nawet uwagi zabawy z jakiemi obficie wystąpił Kraków na dzień św. Józefa. Już to, jak ktoś zauważył, świętemu Józefowi w poście wiele wolno... a rozgrzeszony Kraków, pomny na swych „gości arcyksiążęcych“, zagrał komedję po francusku „Margrabia Villemer“ Jerzego Sanda. W ten sposób usprawiedliwia *Czas* ten wybryk „śmietanki towarzyskiej“, który jest pendant do francuskich konferencji, urządzanych u nas po kościołach. Wygodne lubo nie bardzo godne jest to zastawianie się arcyksięstwem. „Pod tym płaszczykiem — mówi jeden z korespondentów — zaczynają sobie pozwalać niektóre domy... może przekonają arcyksiężnę, że niepotrzebnie uczy się po polsku, a może ma to być popis i wystawa na okazanie, że jest u nas *najlepszy* świat, dla którego język międzynarodowy więcej ma powabu niż... narodowy“.

Tegoż samego dnia, kiedy śmietanka bawiła czy nudziła arcyksięstwo francuską komedją — inteligencja i plutokracja żydowska urządziła na strzelnicy bal i przedstawienie komedji Fredrowskiej. Bawiono się doskonale, a zabawa ta głównie obmyślana dla zatarcia towarzyskich różnic w społeczeństwie — zasługuje na uznanie.

Do uciechy tutejszych ultramontanów należy jeszcze dodać i tę okoliczność, iż nareszcie ukończoną została sprawa w zasadzie słuszna, biskupstwa krakowskiego. Po wielu latach przywrócono nakoniec tę starożytną katedrę. Wprawdzie dyecezja krakowska jest jeszcze bardzo mała, ale istnieje projekt silnie popierany w Rzymie, rozdzielenia dyecezji tarnowskiej między przemyską i krakowską, a więc powiększenia tej ostatniej. Tymczasem rozbieraną jest myśl odnowienia pałacu biskupiego, stojącego ruderą od ostatniego pożaru. Brak funduszów temu na przeszkodzie, lecz stańczycy gdy idzie o sutannę, umieją tę trudność pokonać. Trzeba im w tem oddać sprawiedliwość. Tak np. na pomnik Mickiewicza zbierają się fundusze od lat piętnastu i uciułano półtrzecia tysiąca reńskich, na pomnik Piusa IX zbierają stańczycy od roku i mają przeszło dziesięć tysięcy! Ale to nie wystarcza i trzeba jeszcze trzech tysięcy — a Czas wygrywa pobudkę ku temu na wszystkie tony. Można więc być spokojnym o pałac biskupi — lecz kto go zajmie? Przypuszczają, że nie ks. Gałecki, który wyjechał do Wiednia aby p. Stremayerowi ministrowi wytoczyć proces o obrazę honoru, jakiej się ten urzędnik dopuścił, potwierdzając zarzuty, jakie temu zdrożnemu księdzu wszyscy czynią.

Smutne te sprawy i wesołe zabawy którym się oddaje Kraków, nie mogą jednak zasłonić tej prawdy, iż położenie ekonomiczne miasta coraz gorsze. Bieda wzrasta; po mieście snują się gromady robotników bez zajęcia, a głód wyziera im z oczu, bo po warstatach i fabrykach ustały roboty, po handlach coraz gorsze prowadzą się targi. Handel z królestwem poszedł w przewidywanym stosunku, to jest upadł zupełnie a Galicji grozi ruina! Nie są to wcale krzyki pessymistów, ale dane statystyczne i to statystycznie pewne. Gazeta Lwowska, pismo urzędowe i dobrze informowane przytacza, iż na większej własności ciąży 180 miljonów długów, które ciągle wzrastają na pokrycie procentów; te procenta pochłaniają już dziś $^3/_4$ dochodów, a z pozostałej jednej czwartej potrzeba opłacić podatki, utrzymać się i ponieść ciężary gospodarcze. Własność drobna nie jest wcale w lepszych stosunkach: lichwa i pijaństwo niszczy lud. Nie trudno pojąć jak mocno odbija się to na ogólnem położeniu kraju, a w szczególności i na miastach. Stagnacja w handlu, stagnacja w rzemiośle, stagnacja w fabrykach. Nawet zapał do budowania tak silny w latach ostatnich w Krakowie, zgasł tego roku pod wpływem chłodnych akwilonów ogólnego położenia. Jeżeli jeszcze robotnicy liczą w tym względzie, to chyba na roboty miejskie. Ale roboty te na nieszczęście będą musiały być niedługo przerwane, bo zaczynają się wyczerpywać anszlagowe fundusze, a przeciw rozpoczynaniu nowych na koszt miasta oświadcza się opinja publiczna. Niestety bowiem, wszystkie przedsiębiorstwa na które zaciągnięto miljonową pożyczkę, wcale się nie udały. Szkoła przerobiona z dawnego kościoła poczyna przerażać gminę. Naprzód waliły się okna i podparto je szynami, potem waliły się piwnice i zasypano ich kilka, potem waliły się mury w korytarzach pod ciężarem sklepienia, więc zburzono sklepienia, dano drewniane i podłogę drewnianą zamiast cementowej; potem waliła się cała klatka wchodowa, więc podrutowano ją na gwałt obręczami, teraz walą się piece i sufity, bo belki wszystkie zgniły... Obecnie połowa szkoły zamknięta, w drugiej połowie pod ciągłą obawą odbywają się pół dnia lekcje. Reperacja pociągnie nakład dwunastu do piętnastu tysięcy reńskich, a są tacy co twierdzą, iż nic to nie pomoże i szkoła zwaloną być musi. Coś podobnego poczyna się wykazywać w Sukiennicach. Świeże wstawki z miękkiego szydłowieckiego piaskowca puszczają, a wszelkie podpieranie na nic się tu nie zda. Trudno też zrozumieć gospodarstwa w prowadzeniu tej budowy. Anszlag pierwotny

obliczono na 150,000 złr., potem na 200,000. Sukiennice kosztują już 400,000 a podobno i 600,000 do ukończenia nie wystarczy. I być inaczej nie może, co jednego roku zbudują, to drugiego rozburzą, co jeden zadysponuje, to drugi po wykonaniu odwołuje! Do czego to doprowadzi? A tymczasem wodociągi od lat ośmiu ani na włos nie postąpiły, a p. adwokat Szlachtowski wystąpił z komisji hydrograficznej „nie chcąc aby ten wstyd i jego dotyczył.“ Dość powiedzieć, że referat dotyczący stosunków hydrograficznych Krakowa, dopiero ma być wzięty pod obrady.

Nie zbyt również pomyślnie idą moralno-umysłowe sprawy Krakowa. Jakieś powszechne lenistwo ogarnia umysły. Prelekcje świecą pustkami i zaledwie Tarnowski o „Horsztyńskim“ przygotowujący umysły do teatralnego przedstawienia, Asnyk o „Królu Duchu“ Słowackiego — zebrali większą garstkę słuchaczów. Inni mówcy nie byli tak szczęśliwi. „Horsztyński“ dramat Słowackiego cieszy się powodzeniem bo czwarte przedstawienie pełne, zapowiada dalsze reprezentacje, co w pobożnym Krakowie nie trafia się sztukom krajowym i spotyka tylko zagraniczne skandaliczne operety lub wodwile.

## Piśmiennictwo polskie.

(*Józef Rogosz. Choroby Galicji w latach od 1866 do 1878. Serja nowa. Lwów 1879*).

(*Dokończenie*).

W rozdziale drugim zatytułowanym: „Na wsi“ zbytek materjału wpłynął nieco ujemnie na dokładność w przedstawieniu wielu piekących kwestji. Autor widocznie za tylko wschodnią Galicję: wszystko też zawarte w tym rozdziale odnosi się do tej części naszej prowincji. Bez wątpienia ze wszystkich ziem polskich Wschodnia Galicja jest pod każdym względem najbardziej upośledzoną. Proszę tylko porównać włościanina z Mazowsza z chłopem ruskim, a okaże się rażąca różnica. Mazur lubi się ubrać strojnie, rad pochwalić się dobrem gospodarstwem, trzasnąć z bicza nad rażnymi końmi, w wzroku jego i układzie znać pewną samowiedzę i butę, podczas gdy brudny i apatyczny chłop ruski przedstawia istny widok upośledzonego niewolnika. Nie naszą rzeczą dochodzić, kto jest pod tym względem winowajcą — fakt jednak jest faktem. Z żywiołem tak mało cywilizacyjnym jak włościaństwo ruskie bardzo trudno dać sobie radę, a jeśli zważymy, że obywatele większych posiadłości prawie nic nie czynią, aby ten lud podnieść z upadku i owszem niesłusznie rozkładanemi ciężarami utwierdzają go jeszcze w dotychczasowej apatji, pojmiemy łatwo, dla czego na tak niskim stopniu rozwoju stoi wieś w wschodniej Galicji.

Nie mało do utrzymania tego nieznośnego *status quo* przyczyniają się prowodyry *ruskiego narodu*, księża, którzy lud ten niemiłosiernie zdzierają i fatalnej kwestji ruskiej używają do coraz większej waśni szlachty polskiej z ludem ruskim ku szkodzie jednej i drugiej strony. Na kwestję ruską zapatruje się autor z oryginalnego stanowiska, na które zupełnie się zgadzamy. Kwestja ruska nie jest bynajmniej polityczną, tylko społeczną. Tak ją zdrowym rozsądkiem pojmuje włościanin: Lach oznacza u niego właściciela większych posiadłości, lub chrześcijanskiego mieszkańca miasta. Pomny krzywd, które przez tyle wieków ponosił od szlachty, chłop nienawidzi dotychczas surdutowców, nie ufa im i zawsze uważa za ciemiężycieli. Tę nienawiść społeczną połączywszy ze wschodnim obrządkiem — stworzono w r. 1848 naród ruski przy pomocy księży, którzy dobrze wiedzieli, do jakiej dojść mogą potęgi, jako prowodyrowie nowego narodu. Gdyby nie księża, nie byłoby kwestji ruskiej, która rozbiciem ludności na dwa wrogie obozy, tyle szkody przyniosła nieszczęsnemu krajowi. Po r. 1848 księża ruscy w Galicji uważali się za Polaków, w domu używali języka polskiego, naszą przeszłość uważali za swoją, a niejeden z nich brał czynny udział w ruchach narodowych. Że rząd potrafił z nich uczynić wrogów polskiej narodowości, temu przeważnie winna nasza szlachta, która w towarzyskich stosunkach na każdym kroku ich upośledzała. Trudno żądać od ludzi, aby byli aniołami, a prawie wszystkie sprawy polityczne mają za podstawę osobiste sympatje i niechęci. Tak być nie powinno, niestety jednak tak jest dotychczas.

Wybornie kreśli autor wybór prezesa w radzie powiatowej, zaściankowe stronnictwa, którym się zdaje, że cała Europa na nie spogląda, walki wyborcze i t. d. Ustęp ten jest zajmujący i pouczający.

Najważniejszą może ze wszystkich, kwestję, żydowskiej ludności na wsi traktuje autor dość pobieżnie, schwycone jednak przez niego rysy są prawdziwe i charakterystyczne. Wysoki czynsz propinacyjny zmusza żydów osiadłych na karczmach do gorączkowego zbierania grosiwa wszystkimi możliwymi sposobami. Rozpijają włościan powolnie działającą trucizną, która zaledwie na miano wódki zasługuje, podwójną kredką rachując, wydzierają im grosz ostatni, przytem trudnią się handlem płodów surowych, którego jedyną podstawą jest wyzyskiwanie. Arendarze są wybornymi psychologami, znają dokładnie naturę włościan, umieją pozyskać u nich coś w rodzaju zaufania i są właściwymi ich panami. Rozmaicie starano się wydrzeć ludność włościańską z tej arendarskiej niewoli i wszystkie środki okazały się niedostateczne i zawodne. Nawet religijne misje wstrzemięźliwości, nawiasowo mówiąc, nadużywane często w niegodny sposób, nie potrafiły odzwyczaić ludu od nałogowego pijaństwa, a tem samem uwolnić od hegemonji żydowskich wyzyskiwaczy. Według nas jedynym środkiem w celu usunięcia złego byłoby prawo zakazujące bezwarunkowo żydom sprzedawać gorące napoje po wsiach. Bez wątpienia nie zgadza to się z obszernem pojęciem równouprawnienia, ale jest to jedyny środek, którego jeśli się nie użyje, lud nasz nie zdoła się podnieść z upadku. W ostatnim rozdziele pt. „Lichwa uprzywilejowana“ odkrywa nam autor wiele ohydnych tajemnic bankowych, które zamiast ratować podupadłych dostarczaniem taniego kredytu i przyczyniać się do podniesienia handlu i przemysłu krajowego, kierują się po większej części nieznającą granic chciwością i za pomocą rozmaitych sztuczek wydzierają ostatni grosz swoim klientom. Szczególnie uderza autor na t. zw. „Kredytowy bank włościański“, który kostycznie ktoś nazwał bankiem „pod chłopską skórą“ i cyframi wykazuje, jaką klęską jest ta instytucja dla włościan.. Nie uwalnia ich ona od lichwy żydowskiej, owszem drugą obarcza — a statystyczne daty dowodzą, że rzadko który z dłużników banku utrzymał się przy swojej własności. Czytelników, chcących się bliżej obznajomić z tą sprawą odsyłamy do wybornej broszury p. Merunowicza pt. „Bank rustykalny“.

Sądzimy, że z sprawozdania naszego, łaskawy czytelnik powziął dość jasne wyobrażenie o pracy p. Rogosza. Można się z nim w niektórych punktach nie zgadzać, w każdym jednak razie należy mu przyznać sumienne i rozumne badanie omawianych kwestji, oryginalność poglądów i myśl poczciwą, która przyświeca z każdej stronnicy. Dodać przytem należy, że książka ta jest pisana zręcznie, zajmująco i dobrym językiem. Wszystkie te zalety polecają „Choroby Galicji“, jako pożyteczną, a zarazem miłą lekturę. *B. Cz.*

### NARZĄDY SZCZĄTKOWE W NASZYM ORGANIŹMIE.

Wielka i doniosła teorja transformizmu, zwycięzko zdobyła sobie stanowisko w swiecie naukowym. Nie masz dziś uczonego i poważnego badacza przyrody, któryby jej nie uznawał, jeżeli nie we wszystkich konsekwencjach to przynajmniej co do zasad ogólnych. Przeszłoroczna wystawa powszechna, w czasie której odbywały się liczne kongresy naukowe, dała temu wymowne świadectwo. Na posiedzeniach kongresów przyrodniczym, antropologicznym, stowarzyszeniu postępu nauk (Association française pour l'avancement des sciences) najpierwsze znakomitości oświadczyły się jako przekonani zwolennicy nowych zasad. Z wszystkich stron przybywają nowi adherenci i jest już dziś rzeczą pewną, że jakaś siła nieprzeparta pchnie wszystkie jasne i dobre umysły ku darwinizmowi. Porywa ich nowa doktryna biologiczna swą racjonalnością, również jak wielkością i doniosłością swych konsekwencji. Z wyjątkiem kilku oficjalnych profesorów, zwolenników Cuviera, utrzymujących, iż wszystkie istniejące na ziemi gatunki, zostały odrazu stworzone, niezależnie jedne od drugich, z wyjątkiem tych szczątków epoki naukowej, już zanikłej, wszyscy uczeni uznają konieczność i prawdziwość teorji genealogicznej. Teorja ta ewolucji powolnej i stopniowej zwierząt i roślin, ewolucji, która trwała przez niezmierny szereg lat ziemskich, wydaje się im i zupełnie słusznie, jedynem możliwem wytłumaczeniem i jedynem związaniem w pewną całość faktów niezliczonych zdobytych długiemi badaniami przez przyrodników rozmaitych czasów.

Najznakomitszy z uczniów Darwina, największy przedstawiciel na lądzie stałym teorji transformizmu, Ernest Haeckel, wymowny profesor Jenajski, przyjmowany był zeszłego roku z szczególnemi owacjami w Paryżu. Między innemi, wielu przyrodników i filozofów francuskich, bezinteresownych przyjaciół prawdy naukowej, wydało mu bankiet w celu wyrażenia swego uznania i podziwu dla autora tylu pięknych prac analitycznych nad niższemi organizmami i owych trzech wielkich dzieł, znanych w całym świecie pod tytułem; *Morfologia ogólna, Dzieje utworzenia przyrody* i *Antropogenia.*

„Od dzisiaj“ powiada Haeckel w swych dziejach utworzenia przyrody, „można przepowiedzieć z zupełną pewnością, iż zupełny tryumf doktryny ewolucyjnej da zbiory o bezprzykładnej obfitości w annalach ludzkiej cywilizacji... Dzięki jej zaczniemy nareszcie wychodzić z opłakanego stanu barbarzyństwa społecznego, w którym jesteśmy dotąd zanurzeni, mimo naszej cywilizacji zanadto przechwalanej... Nasze wychowanie swywolne i pełne hipokryzji, nasze wykształcenie niezupełne, niedostateczne, kłamstwo ukryte pod zewnętrzną cywilizowaną powłoką, nigdy nie zdołają zatryumfować nad tem barbarzyństwem moralnem i społecznem. Trzeba wrócić całkowicie i szczerze do przyrody i do jej praw. Lecz

aby ten powrót był możliwym, koniecznem jest, aby człowiek znał i pojął swe „prawdziwe stanowisko w przyrodzie“. Doskonale określa to Ratzel: „człowiek nie będzie wtedy uważał się za znajdującego się po za obrębem praw przyrodniczych; owszem, będzie się starał zastosować te prawa do swych czynów i do swych myśli i będzie kierował swem postępowaniem stosownie do praw naturalnych.“

Aby zorganizować swe życie społeczne w rodzinie i w państwie, podda się on nie dowolnym i narzuconym przepisom lecz zasadom rozumowanym prawdziwej nauki. Polityka, moralność, zasady prawa, które dziś bujają na los szczęścia, będą w harmonji jedynie z prawami naturalnemi. *Państwo prawdziwie ludzkie*, o którem marzono od wieków, stanie się nareszcie rzeczywistością“. Najszlachetniejszym celem człowieka, jest zupełnie swobodna wiedza, zupełny rozwój samowiedzy i energji moralnej, która ztąd wypływa. Im człowiek lepiej siebie poznaje, tem bardziej czerpie w tej wiadomości, nowe siły do moralnego ulepszania się; również i znajomość swego prawdziwego pochodzenia oraz swego prawdziwego stanowiska w przyrodzie popchnie ludzkość na drogę postępu moralnego i naukowego... Epoka nasza, która będzie miała sławę założenia podwalin naukowych, najświetniejszego rezultatu wiedzy ludzkiej: doktryny genealogicznej, będzie sławiona w wiekach przyszłych, jako inaugurująca nową i płodną erę w postępie ludzkości“.

Co do stanowiska człowieka w przyrodzie, filozof jenajski wyraził znowu swe przekonanie, w sposób najdobitniejszy, na bankiecie już wyżej wspomnianym. Mowę jego tam mianą można uważać jako najtreściwsze przedstawienie nauki transformizmu. „Człowiek“, powiada on w jednym ustępie, „jest zwierzęciem ssącem, różnem od inszych ssaków, lecz mającem z nimi jednakowe pochodzenie. W istocie, człowiek nie pochodzi wprost od żadnego z obecnie żyjących antropoidów (gorylli i szympansa z Gabbon, orangutana i gibbona z wysp Sundzkich); żaden przyrodnik biorący rzeczy serjo nie był za tą doktryną, która obecnie ma wzięcie u zwykłych ludzi światowych i u teologów. Długo jeszcze ludzie swywolni i nieucy znajdować będą przedmiot słodkiej i nie w innej wesołości w samem przypuszczeniu, że chcą ich uważać za małpy wydoskonalone. Nikt o tem nie myśli; lecz niektórzy profesorowie filozofii i wielu zabawnych kaznodziejów rozsiewają i karmią ten przesąd dający im piękne i łatwe powodzenie.“ (Dok. n.)

---

## KRONIKA TYGODNIOWA.

Z powodu ostatniej konfiskaty, otrzymaliśmy następujący wyrok sądowy.

„W Imieniu Jego Cesarskiej Mości!

C. k. Sąd krajowy w sprawach karnych we Lwowie orzekł na podstawie §§. 489 i 493 ustawy o postępowaniu karnem i §. 37 ustawy prasowej wskutek wniosku c. k. Prokuratorji państwa, że treść artykułów umieszczonych w numerze 13 czasopisma „Tydzień Polski“ z dnia 27. kwietnia 1879 pod napisem: „San Francisko.“ — California. 20. marca 1879 r.“ zaczynającym się od słów „Tak nawet dzień 3go maja, — a kończącym się słowami: „rzewności i smutku“ — tudzież pod tytułem: „Z Wiktora Hugo“ zawiera w sobie znamiona zbrodni z §§. 64 i 65 ust. karn.,

że zatem zarządzona przez c. k. Prokuratorję państwa konfiskata tego numeru czasopisma „Tydzień Polski“ jest usprawiedliwiona, dalsze rozpowszechnienie treści tych inkryminowanych artykułów wzbronionem i że zabrany nakład ma być zniszczonym.

P o w o d y.

W inkryminowanym ustępie artykułu pod napisem: „San Francisco, California, 20. marca 1879 r.“ autor ubliża czci, winnej członkom Domu Cesarskiego, przeto ustęp ten zawiera w sobie znamiona zbrodni z §. 64 u. k., w artykule zaś pod napisem „Z Wiktora Hugo“ usiłuje autor bezsprzecznie wzbudzić nienawiść i wzgardę przeciw osobie każdego panującego, a zatem i przeciw osobie panującego w Austrji — przeto artykuł ten zawiera w sobie znamiona zbrodni z §. 65 lit. a. u. k. — czem orzeczenie powyższe uzasadnione.

Lwów dnia 28. kwietnia 1879.

*Mogilnicki.*

* * *

Niebo się tak rozczuliło widokiem „wielkiej, historycznej chwili,“ gdy „historyczna“ szlachta z baronami i mnóstwem hrabiów galicyjskich na czele, „robiła historję powszechną“ w Wiedniu, że rozpłakało się od tygodnia na dobre i żadne prośby utulić deszczu nie mogą, a nawet jakoś nie rozchmurzyło się ono wcale nawet na wesołą wiadomość o mianowaniu ks. Dunajewskiego, brata kandydata ministerjalnego, biskupem krakowskim. A plaga to straszliwa, ów deszcz długi, szczególniej w mieście naszem, znoszącem wszelkie możliwe kontrasty w życiu społecznem, ale nie wytrzymującem ani zbytniej suszy ani też zbytniego deszczu. A rzecz to godna zajęcia się i uwagi, chociażby nawet tak poważnych ciał, jakiemi są sekcje budownicza i sanitarna w zgromadzeniu ojców naszego miasta. Gdy przez dni kilka słońce zaświeci, to na wielu głównych ulicach miasta pył nie do zniesiesienia, i to pył wapniowy oderwany od drogi, który na ulicy Łyczakowskiej dosięga swego maximum i nieprzejrzystemi kłębami wędruje wzdłuż i w szerz całej tamtej okolicy, wciskając się do płuc przechodniów i przez okna do pomieszkań prywatnych. Przyczyna tego—wykładanie ulic kamieniem drobno tłuczonym, miękkim bardzo i podatnym, który trze się bez przerwy kołami wozów na drobny proszek. Lecz w chwili takiej posuchy najstraszniejszem miejscem jest Pełtew przecinająca miasto przez środek, i wijąca się tuż przy miejscu przeznaczonem do publicznych przechadzek. Wydaje ona wtedy woń tak okropną, że wątpimy iżby gdziekolwiek na świecie było miasto tolerujące coś podobnego. Nie o samą woń to chodzi; przykrość ztąd otrzymaną znieść można. Lecz w tej zgniłej wodzie, zasilanej miejskiemi kanałami wytwarzają się miazmata swobodnie unoszące się i kłębiące w powietrzu okolicznem, jak ów pył na ulicy Łyczakowskiej, a są one jak to wszystkim wiadomo, źródłem licznych chorób, i protektorami zarazy.

Z drugiej strony, gdy deszcz zacznie padać, miasto przedstawia obraz zupełnie odmienny. Pył z kamienia tłuczonego staje się na ulicach błotem tak obficie zalegającem drogę, że koła wozów, nie mówiąc już o ludzkich nogach, brną po same osie. A kolor tego błota dziwny, zielonawo szary, niepewny i mglisty, przedstawiał by pole do studjów dla malarzy ze szkoły impressyonistów, szukających w barwach pewnego nastroju. Wędrówka po mieście staje się, szczególniej z kobietami, prawie niemożliwą. Naprzód wychodząc z furty własnego domu, otrzymujesz na głowę tusz z wody przelewającej się przez brzeg rynny, i na wszystkich ulicach będzie ci towarzyszyła owa kaskada spływająca z pochyłych dachów. W zimie zastąpione zostają przez śnieżne lawniny. W dzień ominąć to możesz, w nocy słuch jedynym jest przewodnikiem. Ach, wtedy, w ciemnościach rzuconych przez nasze latarnie gazowe niemieckie, jesteś oddany na pastwę losu. Idziesz spokojnie zasłaniając się parasolem od wody z góry spadającej, wtem oblany zostajesz w połowie twojej wysokości, strumieniem wody mającym pół stopy grubości, fantastycznie poziomo się wylewającym z rynew zakończonych wysoko nad chodnikami. Przyjemność ta spotka cię często, towarzyszyć ci będzie przez całą drogę, jeśli przypadkiem nie wpadniesz razem z wodą uliczną do któregoś otwartego kanału podziemnego, którego kratę mają zwyczaj na noc podejmować, nie stawiając przytem latarki. Lecz jeśli jakaś ręka tajemnicza wstrzyma cię nad przepaścią, to uciekasz na środek ulic i placów, przyspieszając kroku. Wtedy już możesz wpaść tylko do rowu od rur gazowych, albo natknąć się na zdechłego kota, który w tym tygodniu przez dwa dni leżał na Marjackim placu. O, zapewne człowiek w noc taką czuje się zupełnie w ręku Boga, czuje się nawet „zanadto“ w ręku Boga, jak robak w łupinie od orzecha puszczony podczas burzy, na Ocean „zwany spokojnym“.

To się dzieje w głównych częściach miasta, a cóż mówić o ciemnych i nawet w urzędowym języku tak zwanych brudnych zakątkach. Weźmy pod uwagę, którąś z ulic prowadzących ku wysokiemu zamkowi, np. ulicę Sieniawskich, dość stromo pnącą się pod górę. W pogodę przedstawia ona widok iście idyliczny. Na wschodkach domów na zewnątrz wystających rozsiadają się wschodnie postacie przeważnie płci pięknej o zadumanych twarzach, patrzące nieruchomo na środek ulicy, używając słodkiego far-niente. I cóż tam na środku? Oto mały strumyczek, poczynający się u góry skromnie, niteczką brudnej wody ściekającej z pod ganku któregoś domu. Po drodze zasilają go inne drobne ścieki i wzrasta on dość znacznie ku końcowi. W przebiegu swym tworzy małe stawki i jeziorka, ulubione miejsce przechadzek i odpoczynku bachorów kilkoletnich, wijących się na ziemi w rozmaitych możliwych i niemożliwych pozycjach. A blade to, nędzne, żółte, febryczne, kaszlające, aż patrzeć żal cię bierze.

Stan miasta naszego pod tym względem pozostawia bardzo a bardzo wiele do życzenia. A któż temu winien? Do kogo udać się o zaradzenie złemu? My płacimy podatki, magistat kontrolowany przez Radę miejską dbać o to powinien. Lecz przedewszystkiem panom członkom sekcji sanitarnej i budowniczej przykładem świecić należy. Tymczasem, jakby na złość wszelkim przypuszczeniom, nasuwa się nam na myśl jeden przykład świadczący o wręcz przeciwnem pojmowaniu obowiązków. Jeden z radnych i wybitnych członków sekcji budowniczej wystawił przy ulicy Garncarskiej w swojej posiadłości Nr. 13, mały budyneczek, obrażający swem urządzeniem skromność publiczną i pomimo próśb, pomimo zwracania uwagi na obowiązki zwykłej przyzwoitości wobec kobiet uczciwych mieszkających w okolicy, ani myśli o usunięciu złego. Cóż począć z panem radnym miejskim, z członkiem sekcji budowniczej, z taką *figurą?!!*

* * *

Pierwsze po świętach posiedzenie Towarzystwa przyrodników odbyło się w zeszły wtorek przy licznym udziale członków i gości. Mówili pp. prof. Niedźwiecki, Abakanowicz i Dunikowski.

Pierwszy streścił najnowsze prace dotyczące wewnętrznego ciepła ziemi. Wiadomo, że przy-

puszczenia powstania całego układu słonecznego z jednej masy rozpalonej (teorja Kanta i Laplace'a) znajdowała swe usprawiedliwienie w uznaniu, że jądro naszej ziemi, dziś jeszcze jest w stanie płynnym i posiada temperaturę bardzo wysoką. Główną w tym celu wskazówką, oprócz wybuchów wulkanicznych, mogły być pomiary temperatury w różnych głębokościch przedsiębrane. Otóż te doprowadziły do wniosku, że istotnie im głębiej, tem goręcej, i że mniej więcej na każde 100 metrów ciepłota powiększa się o 1 stopień. W nowszych jednak czasach prof. Duncker i inni opierając się na swoich obliczeniach zaczęli dowodzić, że powiększanie się ciepłoty słabnie i nareszcie ustaje zupełnie, a nawet przedstawia wartości ujemne, czyli zmniejszanie się. Wywody te narobiły hałasu w świecie naukowym i niektórzy, jak Vogt, zaczęli już przypuszczać, że wszelkie dawniejsze teorje trzeba będzie porzucić. Na szczęście jednak najnowsze prace wykazały bezpodstawność tych obliczeń i jak dawniej tak i dziś możemy przypuszczać istnienie rozpalonego jądra ziemi, chociażbyśmy nie uznawali za bezwarunkowy i stały tego stosunku, który pomiary do 8000 metrów sięgające wykazały.

P. Abakanowicz okazywał nowy telefon (właściwie mikrofon wysełający) pomysłu p. Machalskiego, który okazał się wybornym i lepszym od wszystkich znanych systemów. Wprawdzie wymaga on użycia dość silnej baterji, ale za to mowę pozwala słyszeć wyraźnie w *całym pokoju*. Słusznie też dostały się temu wynalazkowi huczne oklaski.

Nareszcie pr. Dunikowski mówił o własnych badaniach geologicznych i paleontologicznych w okolicach Złoczowa.

* * *

Koncerta i w ogóle życie muzyczne, zaciągnęło się u nas daleko po za post i nawet, jak się zdaje, przychodzi teraz ich panowanie. Obiecywany i zapowiadany od dawna przyjazd Barcewicza, znakomitego skrzypka, nareszcie przychodzi do skutku i za parę dni słyszeć go będziemy. Dziwny to instrument te skrzypce. Mały, niepokaźny, czterostrunny zawiera w sobie tyle tonów sięgających do głębi duszy, tyle odcieni żalu, werwy, ognistego zapału, ile żaden inny. Trzeba tylko mistrza, któryby te ukryte tony zdołał wywołać. Barcewicz należy do najlepszych z żyjących obecnie skrzypków. Poważny w wyborze przedmiotu, pełen siły i wdzięku w wykonaniu, działa porywająco na słuchaczów i słusznie też zaczyna zbierać wawrzyny. Po Wieniawskim, jedyny to dotąd jego następca u nas. Sądzimy, że Lwów tak muzykalny, przyjmie go tak, jak na to zasłużył.

---

# Wiadomości z kraju i ze świata.

### Literatura, sztuka i nauka.

⁂ Posiedzenie kliniczne Towarzystwa lekarskiego warszawskiego odbyło się we wtorek dnia 8. kwietnia 1879 r.: 1) zatwierdzenie regulaminu porządkowego Towarzystwa. 2) Perkowski: „Raptowne i zupełne zaniewidzenie chorego jeszcze w miesiąc po dokonanem odjęciu uda. 3) Borowicz Władysław: „Dwie sekwestrotomie kości słoniowej. - Amputacja stopy Chopart'a. Demonstracja chorych" — Po skończonem posiedzeniu członkowie udali się do Resursy Kupieckiej na kolację, wydaną dla uczczenia 25-letniego jubileuszu służby prof. Szokalskiego w Instytucie Oftalmologicznym imienia ks. Lubomirskiego.

⁂ Dr. Kętrzyński pisze dzieło „O kolonizacji polskiej w Prusach zachodnich i wschodnich."

⁂ W Poznańskiem Tow. Przemysłowem pan Szafarkiewicz miał odczyt „O lampach."

⁂ Wydział nauk przyrodniczych Poz. Tow. Przyj. Nauk wysłuchał (20. marca) „Kilka uwag o czasie, przestrzeni, wieczności ze stanowiska nauk przyrodniczych," przez sekretarza dra Kusztelan.

⁂ Na posiedzeniu Tow. Naukowego Toruńskiego 19. marca p. Szczaniecki czytał „Historyczno-krytyczny pogląd na Ks. Warszawskie" i Danielewski „O literackim zawodzie J. I. Kraszewskiego z zestawieniem statystycznem prac jego."

⁂ Na posiedzeniu wydz. histor. Tow. Przyj. Nauk w Poznaniu czytano „O literaturze w Poznańskiem do końca połowy XIX. wieku.

⁂ W Tow. Przemysłowem p. Kusztelan miał odczyt „Gwiazda a wieczność."

⁂ Staraniem poznańskiego stow. „Stella" odbył się odczyt p. W. Pohla „Jan III. pod Wiedniem, obraz historyczny."

⁂ W nowo rozpoczętej Bibljotece Umiejętności Prawnych, której dwa zeszyty wyszły, mieści się „Ustawa postępowania sądowego cywilnego," p. W. Nowakowskiego.

⁂ P. Wincenty Rapacki napisał świeżo nowy dramat „Pro honore domus," osnuty na tle obyczajów XVI. wieku.

⁂ Wydawnictwo *Bibljoteczki Ludowej* w Warszawie rozpoczęło się od „Baśni i powieści" w liczbie 12, zebranych przez p. Glogera.

⁂ Dr. Adam Bućkiewicz wydał „Studja nad suchotami, czyli badanie przyczyn szerzących się suchot pomiędzy ludnością i środków ochronnych od tej choroby."

⁂ Nieomylny sposób wyjścia za mąż ku zbudowaniu młodzieży płci obojga, napisany przez Adama Kieł i Feliksa Kolbę. (Warszawa u Przybylskiego), jest to płytka gadanina o kwestji kobiecej.

⁂ „Jak uczyć początków języka," napisał Wł. Nowicki.

⁂ „O prawach Malthusa w przyrodzie," prof. Rostafińskiego (Warsz.)

### Sztuki piękne.

⁂ Warszawski Gabinet Rzeźb i Odlewów wzbogacony został statuą „Wenus Milońska."

⁂ Na Wystawę urządzoną na korzyść rodziny po Tegazzym, deklarowano: Józefa Brandta „Na przewozie," „Chodkiewicz pod Chocimem," „Powrót Lisowczyków;" Głowackiego „Portret," Horowitza „Żydzi;" Matejki „Władysław Warneńczyk," „Portret;" obrazy Makarta, będące własnością pp. Blocha, Hermana, Janasza; Siemiradzkiego „Diogenes," „Elegia;" Straszyńskiego „Zygmunt August," „Wallenstein;" Zalewskiego „Wnętrze kościoła Dominikanów w Krakowie," oraz obrazy Tegazza; nadto Album tutejszych artystów dla J. I. Kraszewskiego wygotowane.

⁂ Wyszedł 12ty zeszyt „Ryciny polskich i obcych rysowników," zebrane przez Łoskiego.

⁂ Poznańskie towarzystwo Doroszyńskiego ma zjechać na lato do Płocka.

⁂ Na scenie warszawskiej ma być przedstawioną farsa niemiecka „Rosenmüller i Finke," w przekładzie Jana Chęcińskiego.

⁂ Rossi w przejeździe do Cesarstwa odwiedzi Warszawę.

⁂ Dramat „Pro honore domus" W. Rapackiego, grany będzie na scenie Warszawskiej.

⁂ P. Jakowicka wyjechała do Genui, dokąd ją zaangażowano dla odspiewania roli City w Królu Lahory.

⁂ Andriolli przygotował dwanaście illustracyj do Lilli Wenedy, które będzie drukował „Tygodnik powszechny".

⁂ Warszawscy malarze urządzili celem uczczenia Brandta przyjacielską ucztę.

⁂ Na wystawę krakowską przybyły: Ajdukiewicza „Dwa portrety", Kozakiewicza „Po pytcze".

⁂ Teatr Lwowski w maju rozpada się na trzy części: opera jedzie do Krakowa, część dramatu do Stanisławowa, a reszta z operetką pozostaje we Lwowie.

### Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

⁂ Grono przyjaciół śp. *Dr. Juljana Dalkiewicza*, żołnierza z ostatniego powstania, zmarłego w Tarnowie w b. r. zarządziło między sobą składkę na pomnik, który stanie na cmentarzu tarnowskim.

⁂ *Tygodnik illustrowany* donosi, że zmarła przed kilku miesiącami Konstancja z Balloghów Giejsztorowa, właścicielka dóbr Szaudyniszki w powiecie wołkowyskim, w testamencie poczyniła następujące zapisy: 10,000 rs. na trzy stypendja przy uniwersytecie warszawskim, 3,000 rs. na szpital dla dzieci w Warszawie, 1,000 rs. na zakład starców i kalek, 1,000 rs. na osady rolne w Studzieńcu, 1,000 rs. na założenie ochronki i wreszcie 1.000 rs. na rzecz biura informacyjnego o nędzy wyjątkowej. Cześć pamięci szlachetnej niewiasty!

⁂ P. Tosiński, w Rysiowie, w lubelskiem, właściciel obszernej pasieki, zamierza założyć muzeum pszczelnicze, w którem możnaby znaleźć wszelkie nowsze i dawniejsze systematy ulów, oraz różne przybory pasiecznicze.

⁂ Doktor Joachim Rappaport ofiarował warszawskiemu Towarzystwu lekarskiemu bibliotekę, złożoną z 300 dzieł medycznych w 500 przeszło tomach. W bibljotece tej znajduje się wiele cennych zabytków bibljograficznych. Sędziwy lekarz opuszcza Warszawę, zamierzając spędzić resztę życia przy rodzinie w Wiedniu.

⁂ P. Zaborowski z Chocimia, doprowadzając myśl publicznej bibljoteki w Kaliszu do skutku, ofiarował nająć na rok pokój, umeblować go i zasilić 100 tomami dzieł.

⁂ Jeden z przemysłowców warszawskich wystąpił do władz wyższych, ofiarując fundusze na założenie szkoły politechnicznej w Warszawie.

⁂ Komitet pomocy dla dotkniętych powodzią nadwiślan przesłał już zbierać sładki, przesłał 4,900 rs. dla powodzian sandomierskich a 500 dla iłżeckich.

⁂ Fabryka machin do szycia p. Kraszewskiego w Warszawie przeszła na własność p. Wernera.

⁂ W Warszawie otwartą została fabryka zapałek szwedzkich, które tworzą na wspólnej podstawie rodzaj słupka, o który się zapałka pociera przy zapalaniu. Zapałki te mają być bardzo praktyczne i niezmiernie tanie. Nasi kupcy zapewno nie pomyślą o tem ażeby sprowadzić je do Lwowa.

⁂ Znana fabryka Temlera i Szwedego przechodzi na własność Towarzystwa Akcyjnego fabryki garbarskiej pod firmą Temlera i Szwede.

⁂ Skutkiem niskiej waluty i cła w złocie, cudzoziemcy coraz liczniej zakładają fabryki w Warszawie: przy ulicy Chłodnej powstała fabryka lamp, a jest w budowie fabryka gumowych cholewek do kamaszy.

⁂ Grono prawników warszawskich przysposabia upominek dla Kraszewskiego, złożony ze szczerozłotego przycisku, wyobrażającego Temidę, modelowany przez p. Prószyńskiego. — Z Ostrołęki zaś ma być w tym celu wysłany wspaniały przyrząd do pisania z bursztynu, rysownicy warszawscy album z illustracjami do powieści „Chata za wsią."

⁂ Dla przyśpieszenia biegu spraw sądowych w okręgach nadgranicznych Rosji i Niemiec, sędziowie obu państw sąsiadujących będą mieli prawo bezpośrednio wzywać świadków z obu krajów.

⁂ Zmarły warszawski kanonik Lipiński cały majątek 18,000 rs. zapisał na stypendja szkolne.

⁂ W d. 1, 2 i 3 września st. st. będzie miała miejsce wystawa rolniczo-przemysłowa w Szawlach, na którą okazy żywe będą przyjmowane z gub. Kowieńskiej, a inne bez żadnej różnicy.

⁂ W Łodzi wznosi się nowa przędzalnia spółki kapitalistów angielskich i hollenderskich pod firmą „Goetz, Schröder i S-ka".

⁂ Jednocześnie z wystawą rolniczą w Szawlach ma być tam otwarta wystawa koni włościańskich, poczem nastąpi konkursowy bieg z ciężarami na premjum rządowe w wysokości 400 rs.

*** W Pińsku założoną została fabryka ćwieczków drewnianych do butów.

*** W Krakowie obchodzono uroczystą ucztą zasługi prof. Ignacego Gralewskiego, ustępujące z urzędu dla słabości zdrowia.

*** Bank Kwilecki, Potocki i S-ka wypracował projekt kolei żelaznej między Jarocinem a Lesznem; koszta mają wynosić 1.700,000 marek.

*** Zamierzają w Toruniu wznieść nagrobek składkowy Dr. Rakiewiczowi, autorowi *Elementarza polskiego*, którego wyszło przeszło 100 wydań.

*** W Fabianowie, pod Poznaniem, założono Stowarzyszenie Pszczelnicze.

*** W d. 10 i 11 maja odbędzie się w Poznaniu wystawa bydła.

*** Poznańskie Towarzystwo wynagradzania dobrych sług liczy 249 czł. i 914 marek w kasie: wypłaca ono po 12 marek sługom, które przez trzy lata w jednej służbie przesłużyły.

*** W Toruniu majstrowie szewscy ofiarowali puhar srebrny w dzień jubileuszu 60-letniego majstrowi swemu p. W. Bezorowskiemu, ur. 1785.

*** Miasto Poznań ma w dochodach i rozchodach miejskich 1,195,649 marek, z czego szkoły otrzymują 301 430, publiczne miłosierdzie 122,757 marek.

*** O strasznem trzęsieniu ziemi donoszą z północnej Persji, które w nocy na 23 zm. porwało 1.100 ofiar. Wstrząśnienia były nader gwałtowne i powtarzały się od północy do rana. W mieście Mianeh runęło kilka domów, zasypując mieszkańców. Najmocniej jednak dotknięte zostały tą klęską dwie wsie Tark i Menan, zniszczone do szczętu, a z 600 ich mieszkańców zaledwie kilku zdołało ujść z życiem.

## SZKOŁY LUDOWE W GALICJI.

Krajowa rada szkolna powinnaby ogłaszać publiczne sprawozdania rocznie z czynności swoich, jak to bywało dawniej. Dla braku ich musimy czerpać wiadomości o stanie szkół z artykułów, których jeden z pp. radców szkolnych, mający akta urzędowe pod ręką, dostarcza organowi namiestnictwa lwowskiego.

Z artykułów tych dowiadujemy się tedy, że w ciągu roku 1878 nowych szkół zorganizowanych przybyło w kraju tylko 33, tak, że ogólna liczba szkół publicznych wynosi 2795 (między temi wydziałowych 17), a razem z wyznaniowemi i prywatnemi 2999. Samych jedno-klasowych szkół jest 2540. Zupełnie żadnych szkół nie masz w 2469 gminach!

Według wykazów Rad szkolnych okręgowych za r. 1877/8 było w gminach mających szkoły własne lub należących do wspólnego związku szkolnego z innemi, dzieci obowiązanych do nauki w szkołach ludowych: rzym. kat. obrz. chłopców 131.834, dziewcząt 127.436, razem 259.270; gr. kat. chłopców 114.278, dziewcząt 101.227, razem 216.505; ewangielickiego chłopców 3.011, dziewcząt 2.416, razem 5.427; izraelickiego chłopców 37.482, dziewcząt 35.024, razem 72.456. Ogółem tedy 286.555 chłopców, 266.103 dziewcząt, razem 552.658 dzieci.

Liczbę taką dzieci wykazano w 3.852 gminach politycznych, a z tego wynika, że na jedną gminę wypadało 143 dzieci w wieku szkolnym. Ponieważ gminy, które nie mają szkół ludowych własnych i nie należą do związku szkolnego z innemi, było 2.469, należy liczbę tę pomnożyć przez powyższą przeciętną (2.469×143), a dowiemy się w przybliżeniu, ile w tych gminach było dzieci w wieku szkolnym, a zatem że było ich 353.067. Z tego wypadałoby z niejakiem przynajmniej prawdopodobieństwem wnosić, że w r. 1877/8 było w kraju 805.725 dzieci w wieku szkolnym, czyli 30.551 więcej niż przy zamknięciu spisu ostatniego ludności kraju. Chociaż ta liczba zdaje się dość prawdopodobną, wolimy jednakże w obliczeniach naszych wziąć za podstawę tychże liczbę dzieci rzeczywiście żyjących w czasie zamknięcia ostatniego spisu ludności, który wykazuje 755.174 dzieci.

W porównaniu z r. 1876/7 wykazały Rady szkolne okręg. 17.424 dziewcząt, i 17.965 chłopców tj. 35.839 dzieci w wieku szkolnym więcej. Z powyższej liczby dzieci zapisano do szkoły 169.976 chłopców i 141.861 dziewcząt, czyli razem 311.837 dzieci, a zatem 40.22 na 100 obowiązanych w całym kraju do pobierania nauki szkolnej, a 56.42 na 100 obowiązanych w gminach, mających szkoły własne lub należących do wspólnego związku szkolnego z innemi. W porównaniu z r. 1876/7 zwiększyła się liczba chłopców zapisanych do szkoły o 5.844, a dziewcząt o 5.598, czyli razem o dzieci 11.442; cyfra zaś wyrażająca, ile dzieci na 100 obowiązanych zapisano do szkoły, zwiększyła się w pierwszym stosunku o 1.47 proc., a w drugim zmniejszyła się o 1.65 proc., co nie powinno zadziwiać, zważywszy, że podano obecnie nierównie więcej dzieci, wiek szkolny mających. Z wykazanej przez Rady szkolne okręgowe liczby dzieci w wieku szkolnym uwolniono od uczęszczania do szkoły 102.415, t. to część nader tylko małą na podstawie przepisów, zawartych w art. 40 ustawy szkolnej krajowej, a resztę z braku pomieszczenia w zbyt małych izbach szkolnych, lub z powodu zbyt wielkiej odległości mieszkań od budynku szkolnego.

Ogółem uczęszczało do wszystkich szkół ludowych razem: chłopców 143.518, dziewcząt 111.014, czyli razem dzieci 254 532. W porównaniu z r. 1876/7 wzrosła frekwencja chłopców o 6.136, a dziewcząt o 6.719, czyli razem o 12.855. Z dalszego porównania widać, że gdy w r. 1876/7 wzrost frekwencji chłopców przeważał nad wzrostem frenkwencji dziewcząt o 2.241, w r. 1877 8 przeciwnie wzrost frekwencji dziewcząt jest o 583 większy od wzrostu frekwencji chłopców.

W stosunku do wszystkich dzieci w kraju w wieku szkolnym uczęszczało do szkół ludowych publicznych 30.55 proc. a w stosunku do wykazanych przez Rady szkolne okręgowe 42.84 proc. Do wszystkich zaś szkół ludowych razem uczęszczało w pierwszym stosunku 32 83 prc. a w drugim 46.23 prc. W porównaniu z r. 1876/7 polepszyła się frekwencja w szkołach ludowych publicznych w pierwszym stosunku o 1.52 prc., a w drugim zmniejszyła się o 0.67 prc., co wynika z podanej znacznie większej liczby dzieci w wieku szkolnym. Frekwencja we wszystkich szkołach ludowych zwiększyła się w pierwszym stosunku o 1.66 prc., a w drugim zmniejszyła się z powodu wskazanego o 0.49 prc. Frekwencja była w poszczególnionych okręgach rozmaita. Najlepsza frekwencja była w mieście Krakowie (99.69 prc.), we Lwowie (77.26 prc.) i w okręgu krakowskim zamiejskim (63.32 prc.) a najgorsza w okręgu Nadworniańskim (15.10 prc.) i Zaleszczyckim (13.50 prc) W porównaniu z r. 1876/7 zwiększyła się frekwencja w szkołach ludowych publicznych o 11.716 dzieci, w wyznaniowych o 251, w prywatnych o 713 a w szkołach ludowych przeznaczonych do ćwiczeń praktycznych, w seminarjach nauczycielskich o 175.

Dalsze zestawienia cyfr, których tu nie przytaczamy, wykazują, że z wyjątkiem klasy ósmej i siódmej we wszystkich innych klasach wyższych frekwencja szkolna się zmniejszyła, a za to zwiększyła się w drugiej i głównie w pierwszej, co dowodzi, że daleko mniej stosunkowo dzieci starszych uczęszczało do szkoły, niż w roku 1876/7 a zato najwięcej przybyło dzieci z pierwszego roku nauki. Jest to niepomyślny zwrot frekwencji szkolnej, ponieważ świadczy iż rodzice w upłynionym roku zawcześnie swe dzieci odbierali ze szkoły, wskutek czego przepisowi ustawy szkolnej krajowej ustanawiającej sześcioletnie obowiązkowe uczęszczanie do szkoły, nie stało się zadość.

Według wyznań zwiększyła się liczba dzieci obrządku rzymsko-katolickiego uczęszczających do szkoły o 6.084, dzieci obrz. gr. kat. o 1.883 a dzieci izraelickich o 4.716.

Dalsze porównanie wykazuje, że i w stosunku uczęszczania ważne zaszły zmiany, ponieważ w r. 1877 na 100 dzieci uczęszczających do szkoły było dzieci obrządku rz. kat. o 0.24, dzieci obrz. gr. kat o 1·03 a dzieci wyznań ewangielickich o 0·08 stosunkowo mniej, gdy przeciwnie dzieci izraelickich było o 1·37 stosunkowo więcej niż w r. 1876/7, co dowodzi, że stosunkowo frekwencja tych bardziej się wzmogła, niż wszystkich innych.

Najbardziej stosunkowo wzmogła się frekwencja szkolna dziewcząt izraelickich, a po niej frekwencja chłopców izraelickich. Co do dzieci wszystkich innych wyznań i obrządków religijnych zaszedł niekorzystny zwrot pod względem frekwencji szkolnej. Ciągłe zaś od lat kilku wzrastanie frekwencji szkolnej dzieci izraelickich jest pocieszającym objawem, ponieważ świadczy, że ta część mieszkańców kraju pozbywa się stopniowo swych dawniejszych przesądów i coraz większą z każdym rokiem posyła liczbę swych dzieci do szkół ludowych wszelkiej kategorji.

Cyfry przekonywują dalej, że w stosunku do swej liczby w kraju najliczniej korzystają z nauki chłopcy i dziewczęta wyznań ewangielickich, że po nich następują dziewczęta izraelickie, po tych dopiero chłopcy obrządku rz. kat, dalej chłopcy obrządku gr. kat., po nich dziewczęta obrządku rz. kat., po tych chłopcy izraeliccy, a dopiero ostatnie w kolei dziewczęta obrz. gr. kat. Z porównania zaś z r. 1866/7 wynika, że stosunkowo najbardziej się wzmogła frekwencja dziewcząt i chłopców izraelickich, a najmniej dziewcząt wyznań ewangielickich.

Gdy porównamy wzmagający się od kilku lat wzrost frekwencji szkolnej, przekonamy się niestety że w r 1877/8 nastąpił zwrot bardzo niepomyślny. I tak wynosił wzrost ten w r. 1875/6 23.861 a w r. 1876/7 25.345, a r. 1877/8 spadł na 12.853, czyli na połowę prawie. Zwrot ten jest niepomyślniejszy jeszcze z innego również względu, a mianowicie, że główną część wzrostu frekwencji za r. 1877/8 stanowią dzieci pierwszego roku nauki, a za to w równym niemal stosunku przerzedziły się szeregi dziatwy starszej. Główną przyczyną tak niepomyślnego zwrotu było przeprowadzenie w r. 1877/8 reorganizacji okręgów szkolnych, w skutek czego zwolniało na razie w niektórych przynajmniej okręgach wykonywanie przymusu szkolnego. Lecz nie brakło i innych także przyczyn, do których w pierwszym rzędzie zaliczyć musimy grasujące w wielu stronach nagmninne pomiędzy dziećmi rozmaite choroby, a do dalszej ciasnotę izb szkolnych, zbyteczną rozległość znacznej części zakresów szkolnych i wstręt niemal powszechny między ludem wiejskim do posyłania dzieci starszych na naukę, ponieważ rodzice wolą ich używać do posług domowych i gospodarskich.

Oprócz dzieci, które pobierały naukę w szkołach ludowych publicznych, wyznaniowych i prywatnych, urządzanych zwykle na wzór publicznych, wykazały Rady szkolne okręgowe 12.909 jeszcze dzieci, które uczyły się bądź w domu bądź też w szkołach pokątnych. W liczbie tej mieszczą się przeważnie dzieci izraelickie, uczęszczające do chajderów, a najmniej takich, które pobierały prawidłową naukę początkową w domu. Gdybyśmy zaś doliczyli te dzieci do wykazanych poprzednio, byłoby wszystkich dzieci pobierających w kraju naukę elementarną 267.441 czyli 34.48 prct., czego nie można nazwać stosunkiem pomyślnym.

W r. 1877/8 było szkół ludowych publicznych z wykładowym językiem polskim 1.239, z ruskim 1·451 a z polskim i ruskim 156. Pomijając ostatnie jako wspólne dla dzieci obu obrządków katolickich widzimy że dzieci obrządku rzymsko-katolickiego miały 1 szkołę na 313 w wieku szkolnym będących a na 110 rzeczywiście na naukę uczęszczających, gdy dla dzieci obrządku grecko-katolickiego była 1 szkoła na 228 wiek szkolny mających, a na 60 rzeczywiście na naukę uczęszczających. Cyfry te świadczą najlepiej, jak niesłuszne były świeże narzekania ks. Naumowicza na ucisk narodowości ruskiej w kraju naszym pod względem szkolnym. *Gaz. Nar.*

## ROZMAITOŚCI.

### Pierwsze kroki.

W pierwszym tomie „Pamiętników dziennikarza“, zmarły przed kilkoma dniami redaktor *Figara*, Hipolit Villemessant w następujący sposób opisuje początek swej dziennikarskiej karjery:

„Interes z wstążkami w Blois nie udał się; miałem wprawdzie wówczas dopiero lat 22, ale miałem już żonę i dwoje dzieci w dodatku.

Trzeba było budę zamknąć i gdzieindziej szukać szczęścia.

Przyjechałem do Paryża.

Co począć?... mam dwie buzie do nakarmienia i dwa malutkie dzióbki głodne żeru i powszedniego chleba. Byłym sprytnym, zręcznym — nie miałem kłopotu z wyborem zawodu, bo do żadnego nie byłem przygotowanym. Miałem wszelako wiele pociągu do wyrzucania pieniędzy i nie chciało mi się odmawiać czekogolwiek sobie, albo mej rodzinie.

Drugiego garnituru nie posiadałem w mej garderobie, ale miałem już wówczas zwyczaj dwa razy dziennie się przebierać; szkoda tylko, że w jedne i te same suknie.

Prawdę powiedziawszy, buty moje szwankowały już w okolicy wielkiego palca a tu i owdzie potrzeba było atramentem zaciemniać białość skarpetki, przeglądającej przez popękaną skórę...

Dzionek mijał jeden za drugim a ja zawsze jeszcze nie wiedziałem co począć ze sobą. Pewnego razu zaprowadził mnie przypadek, a raczej zrządzenie losu, które ludzki sceptyzm „przypadkiem“ nazwał — do restauracji. Tu spotkałem Martinet'a współpracownika *Siecl'a*, jednego z weteranów naszego dziennikarstwa.

Poznałem się z nim, pogawędziłem; on był przystępnym, ja rozmownym i w krótkim czasie byliśmy już dobrymi przyjaciółmi; czasami towarzyszyłem mu do drukarni jego dziennika, gdzie miał obowiązek układać artykuły do numeru i robić korektę.

W ten sposób wtajemniczyłem się w cały proces tworzenia owej czarno zadrukowanej bibuły, nazwanej gazetą i tam zaleciał mnie po raz pierwszy ów charakterystyczny zapach farby drukarskiej, który ma to do siebie, że rozłakomia do druku i znajdującego się w tej sferze kusi życzeniem: a gdybyś to i ty był wydrukowanym!...

W tym samym czasie wpadło mi na myśl, że dzienniki mód, przeznaczone dla najbardziej eleganckiego świata, haniebnym drukiem odbijane były.

Wspomniałem o tem temu i owemu, ale każdy wzruszył ramionami i odpowiedział mi, że w takiem piśmie nie o czcionki, ale o rysunki głównie chodzi; druk i papier, to rzeczy podrzędne.

— Chciałbyś pan może — mówiono mi ironicznie — aby mody połączyć z literaturą i przy formach kroju dodawać feljetony.

— A dlaczegożby nie? — powiedziałem sobie i świetna myśl przyszła mi do głowy.

Poszedłem do Lévy'ego, właściciela drukarni *Siecl'a*, w której bywałem już z Martinetem. Lévy przyjął mnie bardzo uprzejmie i przyrzekł wydawać dziennik mód — na kredyt. Inaczej też być nie mogło, bo grosza własnego nie miałem.

Początek udał się, mogłem śmiało iść dalej.

Było to w tym samym czasie, kiedy balet w wielkiej operze święcił najpiękniejsze swoje tryumfy a Marja Taglioni, królowa wszystkich tancerek przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, zbierała niepodzielne laury na scenie: wystawiano właśnie z ogromnem powodzeniem nowy balet pod tytułem „Sylfida“.

Tytuł ten wydał mi się nietylko dla baletu, ale i dla dziennika bardzo ponętnym i eleganckim.

Złożyłem wizytę pannie Taglioni, oznajmiłem jej, że postanawiam mojemu dziennikowi nadać nazwę baletu, w którym ona tyle tryumfów zbierała i prosiłem ją o poparcie; przyjęła moją prośbę z ujmującą grzecznością; ochrzciłem tedy pismo *Sylfidą*.

Wpadłem też na świetny pomysł, który mi się błyskiem genjuszu wydał; *Sylfidę* postanowiłem sprzedawać... perfumowaną.

Ba! — ale jak to zrobić? pieniędzy nie miałem, ale nigdy też nie troszczyłem się wiele tem, zkąd je mieć będę.

Następnego dnia udałem się przedewszystkiem do Guertam'a, najsłynniejszego wówczas perfumiera, któremu o ile wiedziałem, wiele na reklamie zależało. Zawarłem z nim ugodę. On mi dostarczył pewną ilość flakoników z pachnidłami, ja natomiast przyrzekłem mu pewną ilość wierszy reklamy w *Sylfidzie*.

Przyszła wreszcie chwila upragniona, mogłem wywiesić na domu, w którym mieszkałem — a mieszkałem wówczas tylko na czwartem piąterku, czarną tablicę marmurową z napisem złotemi literami: *La Sylphide. Journal de modes*.

Zjawił się też w mojej redakcji na poddaszu gość, pierwszy prenumerator!... był nim Niemiec jakiś, jak się to później dowiedziałem, reprezentant dyrekcji pocztowej w Kolonji, zajmujący się dostarczaniem zagranicznych gazet dla swego kraju.

Wysoki, otyły jegomość, kaszlący jak wół i ocierający sobie czoło i kark opasły z potu, zaprenumerował *Sylfidę* na cały rok i wypłacił mi gotówką czterdzieści franków!

Serce mi biło jak młotem.

Pierwszy prenumerator! pierwszy!... tylko ten, który kiedykolwiek w życiu zakładał pismo perjodyczne, zrozumie to głębokie wzruszenie; w tej samej chwili właśnie zadzwoniono w pobliskim kościółku — byłem przekonany, że to dzwon na uczczenie mojej uroczystości redaktorskiej.

Miałem siadać do śniadania i z wielkiej radości nie mogłem się powstrzymać, aby mojego jedynego dotąd prenumeratora nie zaprosić do stołu. Żyje on dotychczas, widuję go dość często w biurze *Figara*. Pewnego rodzaju rozrzewnienie wkrada mi się do serca ile razy spotkam starego jegomościa i zawsze mam ochotę wyświadczenia memu pierwszemu prenumeratorowi jakiej przysługi“...

Vilemessant opowiada dalej w jaki sposób udało mu się popchnąć *Sylfidę* w świat i zapewnić jej przyzwoite utrzymanie; umieszczał on reklamki w tekście, mniej lub więcej zręcznie i kazał sobie po 5 do 6 franków płacić za nie.

Interes szedł wybornie, sztuka reklamowania rozwijała się pod kierunkiem sprytnego, choć sprzedajnego dziennikarza — do ideału.

Villemessant jeszcze jedną kombinację utworzył; wydzierżawił on w *Presse* Girardin'a jeden feljeton „modny“ w tygodniu, płacił za niego 100 franków, ale zarabiał na nim dziesięć razy tyle, gdyż każdy wiersz w tym feljetonie był reklamą, a każda reklama opłacała się feljetoniście na wagę złota.

Wszystkie składy, handle, fabryki kupowały tam wzmiankę, pochwałę, wspomnienie kilkuwierszowe.

Powodzenie zachęciło go do wyzyskiwania w ten sam sposób kilku innych dzienników, w których na spółkę z drugim wydzierżawiał tygodniowe feljetony.

Mimo to wszystko, pomimo znacznych dochodów, fundusze nie starczyły na wydatki; Villemessant na rachunkach się nie znał, buchalterja była dlań zawsze dość ciemną zagadką, administratorowie *Sylfidy* oszukiwali go i okradali ohydnie

Zdarzyło się w końcu, że zbankrutował, a dopiero po wielu przejściach podratował go i świetnie na nogi postawił *Figaro*, ów jenjalny *Figaro*, który strzygł i golił każdege, byle mu tylko dobrze zapłacono.

### Żywa nieboszczka.

Ciekawa bardzo sprawa toczy się obecnie w Paryżu.

Zdawałoby się, że ustęp z jakiego efektownego nowoczesnego romansu.

Zamożny krawiec L** pojął w związki małżeńskie kilka lat temu młodą pannę, córkę pułkownika artylerji, wychowaną w jednym z najlepszych pensjonatów w Ecouen.

Adrjanna, takie bowiem nosiła imię, miała podówczas ośmnaście lat, a była nadzwyczaj piękną, nie dziwić się więc, że mąż zakochany w niej był do szaleństwa.

Po roku małżeństwa, t. j. w czerwcu 1876 r, pan L. powołany został do Belgji, ojczyzny swojej, gdzie miał rodzinne sprawy do załatwienia.

Po powrocie przekonał się on z łatwem do pojęcia zdumieniem, że w dwa dni po jego wyjeździe żona jego znikła nagle z domu.

Nic w jej uprzedniem zachowaniu się nie dozwalało się domyślać, że ma kochanka, owszem zdawała się kochać bardzo swojego męża i chętnie wyznawała przed krewnymi i przyjaciołmi, że bardzo jest zadowoloną ze swojego losu.

Jakże więc wytłumaczyć to tak nagłe zniknięcie?

Nieszczęśliwy mąż uciekał się do wszelkich środków, celem dowiedzenia się o losie żony.

W jakie dwa tygodnie po tym wypadku pan L* w chwili gdy wchodził do Morgue*), gdzie teraz każdodziennie uczęszczał, wznoszono tam właśnie ciało kobiety które w tymże samym dniu wyciągnięto z wody w Anteuil.

W tem martwem ciele, na tafli marmurowej składanem, pan L* poznał swoją żonę.

Dodać wszakże trzeba, że poznanie to nastąpiło po bliższem szczegółowem badaniu, twarz bowiem zmarłej w kilku miejscach pokryta była ranami; kilku jednak członków rodziny nieszczęśliwej kobiety uznało również, że to ona sama.

Spisano więc akt śmierci i przystąpiono do pochowania ciała.

Badania medyczne doprowadziły do przekonania, iż pani L* padła ofiarą samobójstwa, rany bowiem, jakie miała na twarzy, pochodziły od haka, którego użyto do wyciągnięcia ciała z wody.

Śledztwo jednak sądowe nie wykryło żadnych powodów tego samobójstwa.

Wypadek ten takie wrażenie zrobił na panu L*, że przez pewien czas lękano się o stan jego władz umysłowych.

Nie mogąc już dłużej żyć w Paryżu, wydalił się z Francji i przeniósł się do nowego Yorku, gdzie wkrótce wszedł w powtórne związki małżeńskie, w miesiącu jednak styczniu r. b. powrócił do Paryża, zamierzając osiedlić się na stałe w tem mieście wraz ze swoją nową małżonką.

Nájął więc mieszkanie przy ulicy Friedlandzkiej, gdzie i obecnie przebywa.

W dniu 15 kwietnia b. r., pan L*, przechodząc przez wielką aleję pól Elizejskich, spotkał kobietę, której rysy twarzy i cały układ postaci w dziwny sposób pierwszą żonę mu przypominały.

Nieznajoma była przystrojona według najświeższej mody i rozmawiała z wielkiem ożywieniem i widoczną na pozór zażyłością z jakimś młodem wykwintnisiem.

Nie spostrzegła ona pana L*, który trop w trop szedł za nią, a im bardziej się w nią wpatrywał, tem więcej był uderzony podobieństwem jej do Adrjanny.

Na skręcie alei Montaigne, młoda kobieta, podawszy pożegnalnie dłoń swojemu towarzyszowi, wsiadła do bardzo pięknej karety, ciągnionej przez dwa czystej krwi konie.

Krawiec siadł też bezzwłocznie do przejeżdzającego fjakra i dzięki natłokowi powozów, zdołał nie stracić z oka karety, która zatrzymała się przed pięknym pałacykiem przy alei Eytay.

Ugalonowany lokaj otworzył drzwiczki, kobieta wysiadła i weszła do pałacyku.

Pan L* podążył za nią.

Nie wchodząc w niepotrzebne szczegóły, powiemy tylko, że ta kobieta była rzeczywiście Adrjanną, która na widok męża okazała wielkie pomięszanie i padła zemdlona.

Po powrocie do przytomności nastąpiły wyjaśnienia.

Adrjanna zrobiło wyznanie dziwne, nieprawdopodobnie nawet, które w tej chwili jest już przedmiotem ścisłego sądowego śledztwa.

Utrzymuje ona, że dwaj jacyś panowie, wykradłszy ją podstępem, związali ją, zatkali usta chustką i uprowadzili do siebie, gdzie przesiedziała w ścisłem zamknięciu przeszło przez trzy miesiące.

Miał to być dom jakiś w Bougival — i tam stała się ofiarą brudnej żądzy jakiegoś człowieka, którego nazwisko nawet nie jest jej znanem.

Człowiek ów zniknął nagle, wówczas Adrjanna odzyskała wolność, ale dowiedziawszy, że mąż opuścił już Francję, nie śmiała powrócić do swoich rodziców i zgodziła się za pannę do magazynu mód, gdzie poznawszy się z jakimś bogatym księciem zagranicznym, dzisiaj znajduje się z nim w serdecznych stosunkach.

Czy ta cała historja tajemniczego zamknięcia może być prawdziwą?

Idzie więc teraz nietylko o wyszukanie sprawców nadużycia popełnionego na Adrjannie, ale jeszcze o zregulowanie położenia pana S*, który jak powiedzieliśmy, wszedł już w powtórne związki małżeńskie i o unieważnienie spisanego najformalniej aktu śmierci.

Trzeba również zarządzić nowe śledztwo, celem odnalezienia osobistości kobiety, której ciało wyciągnięto z wody w Auteuil.

Śledztwo się toczy.

Nie zaniedbamy w swoim czasie donieść czytelnikom o rezultacie jaki wyda.

*E.*

---

*) Budynek, gdzie są wystawione na widok publiczny ciała topielców z wody wyciągniętych.

---

**Treść Nr. 14.**



Z drukarni Dziennika Polskiego.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.